

1/2018



EQUESTRIA  
TIMES

20

*Co w Krabie piszczy  
Czyli wywiad z Niklasem*

*Dwieście rozdziałów  
O Austraeoh słów kilka*

*Będzie się działo  
Oczekiwania wobec sezonu ósmego*

Czołem, żołnierze! Jak widać święta oraz zbliżająca się sesja (i koniec semestru) odcisnęły swe piętno na redakcji i nowy numer grubością raczej nie powala. Co prawda mówi się, że ilość jest jakością samą w sobie, ale całe szczęście mamy nieco inne standardy. Tradycyjnie nie wiem co tu napisać i gadam jakieś bzdury, żeby liczba słów się zgadzała, więc polecę Wam wywiad z Niklasem, który zajmuje się tworzeniem muzyki oraz pisaniem i tłumaczeniem fanfików. Możecie również zerknąć do licznych recenzji fanfików czy poczytać co myślę o wycieczkach z sezonu ósmego i generacji piątej. No i oczywiście przeczytajcie kolejną część fantastycznej serii o rysowaniu autorstwa naszej drogiej Moonlight.

»Cahan

Styczeń nie rozpieszcza nas zimową pogodą: ani bałwanka ulepić, ani porzucić się śnieżkami, a nawet z nartami może być krucho, bo w takich Beskidach pokrywa śniegu nie przekracza pięćdziesięciu centymetrów. Jednak jeśli choć przez chwilę myśleliście o nudzeniu się, to zapomnijcie, bo oto prezentujemy Wam nowy numer Equestria Times, z którego dowiedziecie się co warto przeczytać, obejrzeć, a nawet wypić i zjeść. Na początek szczególnie polecam recenzję znanego i lubianego Austraeoha autorstwa polskiego tłumacza tego fika. Wyjątkowo bogaty jest także dział niekurowy, w którym znajdziecie między innymi recenzję wiekopomnego arcydzieła polskiej literatury, czyli Pana Lodowego Ogrodu. Poza tym, jak co miesiąc prezentujemy Wam nieco publicystyki, fandomowych nowości, a także, po raz pierwszy, fanfik z forumowego konkursu. Tak, Wasze prace również mogą znaleźć się na łamach ET. Wystarczy tylko wygrać konkurs literacki.

»Falconek



facebook

mlppolska

Wykorzystano prace autorów:

Mlp-vector-collabs

DiscordTheGE

# Spis treści

## RECENZJE

Austraeoh.....	5
Dzień, w którym Trixie powiedziała prawdę.....	7
All That Lingers.....	9
Defender of Justice, King Sombra!.....	10

## PUBLICYSTYKA

Wycieki z sezonu ósmego.....	13
Wywiad z Nicolasem Dominique.....	15
Rysowanie to magia.....	19

## POZOSTAŁE

Teoria smaku.....	23
Dzieci-kraby i podziemne łono.....	25
The Purring Quest – recenzja.....	29
BOLO! – Recenzja.....	30
Recenzja serialu „The end of the f***ing world”.....	31
Made in Abyss – Recenzja.....	33

## FANFIK

Miotła i jej Trixie.....	36
--------------------------	----



Redaktor Naczelny – Cahan  
Redaktor wicenaczelny – Falconek, Verlax  
Redaktorzy – Matyas Corra, Gray Picture, Ghattorr, Moonlight,  
Sosna, Coldwind, White Hood  
Korektorzy – Kamisha, solaris, SoulsTornado, Magda B, Midday Shine  
Dział techniczny – Macter, Pisklakozaur

My Little Pony Friendship is Magic i Hasbro są zastrzeżonymi znakami towarowymi Hasbro Inc.  
Redakcja Equestria Times nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam zamieszczonych w magazynie.

*Szukasz dobrych fanfików do przeczytania?  
Potrzebujesz porad pisarskich? A może zwy-  
yczajnie chcesz z kimś pogadać? Wstap do  
Klubu Konesera Polskiego Fanfika! Na  
naszych czatach znajdziesz coś dla siebie.*

***Harmonogram spotkań:***

***02.02, godz. 20 - dyskusja „Jaki piękny koniec świata - czyli o post-apo”***

***09.02, godz. 20 - „Urodzinowe pisanie na setkę”***

***16.02, godz. 20 - „Nasze wielkie Klubowe urodziny”***

***23.02, godz. 20 - omówienie fanfika „Cena prawdy” autorstwa Emesa***

*Ponadto cały czas toczą się ożywione rozmowy na naszych kanałach teksto-  
wych, nie tylko tych, gdzie piszemy o fanfikach.*

***Zapraszamy!***

Klub Konesera  
Polskiego Fanfika



**DISCORD**



[Adventure][Random][Alternate Universe]

# Austraeoh

Autor: Imploding Colon

**N**apisanie bardzo długiego opowiadania, które cały czas będzie utrzymywać wysoki poziom, jest trudnym zadaniem. Trudnym, ale nie niemożliwym. Dowodem na to jest saga Austraeoh, jedno z najdłuższych dzieł fandomu, która paradoksalnie ma jeden z najkrótszych opisów na Fimfiction.

» *Coldwind*

„Rainbow Dash flies east” – w polskim tłumaczeniu „Rainbow Dash leci na wschód”. Oto cały opis epickiej opowieści, która na dziś dzień ciągnie się już przez dziewiąty tom (z planowanych dwunastu). Wszystkie książki (o tytułach kolejno: Austraeoh, Eljunbyro, Innavedr, Odrsjot, Urohringr, Yaeferda, Ynnanhlutr, Utaan, Ofolrodi) na razie liczą sobie razem bagatela 3,7 mln słów, każda księga podzielona jest zaś do siódmego tomu na dwieście rozdziałów (ósmo tom złamał tę tradycję, zawierając się w trzystu). Autor skrywa się pod nickiem Imploding Colon, lecz tajemnicą poliszynela jest, że to tylko jedno z kilku kont Shortskirtsa – autora m. in. „Background Pony” – opowiadania cieszącego się estymą w naszym fandomie. I tym razem także otrzymaliśmy (i nadal otrzymujemy) niezapomniane przeżycia czytelnicze.

O czym jest to opowiadanie? Jak mówi sam opis – Rainbow Dash leci na wschód. Dodanie czegokolwiek więcej byłoby dużym spoilerem, a w przypadku tego fanfika aura tajemnicy jest olbrzymią zaletą. Mogę właściwie dodać tylko, że tęczowogrzywa pe-

gaz podczas swej wyprawy wplątuje się w coraz to większe kabały. Austraeoh to przygodówka fantasy w starym, dobrym stylu, wzbogacona elementami m. in. science-fiction, steam- i dieselpunku. Autor napracował się, tworząc to całe dość unikatowe lore. Worldbuilding w tym fanfiku jest olbrzymim plusem. Dość powiedzieć, że Rainbow napotyka na swojej drodze m. in. technokratów mówiących w dziwny, momentami zabawny sposób, przywozujący skojarzenia z tekstami z gier komputerowych (polecam ten fragment, jest jeszcze w pierwszym tomie) czy też pewnych dość śliskich (dosłownie i w przenośni) typów. To tylko mała część tego, co czeka główną bohaterkę podczas długiej, obfitującej w przygody wędrówki.

Właśnie, Rainbow. Co można powiedzieć o jej kreacji? Jest na pewno dzielna, lojalna, ale przy tym i dość próżna. Jej brawura momentami graniczy z głupotą, ale udaje się jej jakimś cudem wykaraskać z kłopotów. Nie jest jednak kretynką, to po prostu taka postać o złotym sercu, która nierzadko wpada też na dobre pomysły i wykazuje się troską o innych. Pod płaszczykiem kłaczy pozującej na chodzącą definicję słowa „niesamowita” ukrywa się bohaterka zmagająca się z lękami, poczuciem winy, a także czymś gorszym, choć jest to już bardzo duży spoiler. Są pewne różnice względem kreacji z serialu, ale tag Alternate Universe nie pojawił się bez przyczyny. To, co się (nie) zdarzyło, miało swój wpływ, i to ogromny, na kanoniczne postacie. Co do innych bohaterów, tu też jest bardzo dobrze, lecz pod tym względem królują kolejne części

sagi, w których pojawia się pewna bardzo ważna kompania bohaterów. Tu też nie mogę zbyt dużo zdradzić, ale mam do czynienia z postaciami z krwi i kości, przeżywającymi radości i smutki, zmagającymi się z tragediami, nałogami, ale też i tworzącymi dość specyficzną rodzinę, wspierającymi się. Nawet antagonistów może nam się zrobić trochę szkoda, choć gdy przechodzą do czynów, to zaczynamy jednak kibicować tym dobrem.

Według wielu największą zaletą Austraeoh jest klimat (choć według mnie w kolejnych tomach na prowadzenie wysuwają się już postacie). Nie wiem, jak ująć w słowa to, jaki on jest, więc użyję słowa „magiczny”, choć nie odzwierciedla ono do końca mojej opinii. Spokojniejsze, opisowe momenty są rajem dla poszukiwaczy wrażeń estetycznych w literaturze. Gdy dochodzimy do relacji pomiędzy bohaterami, czuć tu ten ładunek emocjonalny, szczególnie widać to w smutniejszych momentach (ale bez obaw, nie ma tu ciągłych smutów, proporcje pomiędzy scenami radośniejszymi i tragiczniejszymi zostały w miarę zachowane, choć jak już zdarzy się coś złego, to na długo pozostawia swój ślad). A kiedy zaczyna się większa akcja... Cóż, polecam wam dotrzeć przynajmniej do szóstego tomu, dość wspomnieć, że jego początek bardzo wysoko podnosi poprzeczkę w kategorii „rozpoczęcia z wypierdem”.

O czym by tu jeszcze wspomnieć... Zagadki. W Austraeoh pojawiają się na każdym kroku – od motywacji głównej bohaterki po konstrukcję całego świata. Ledwo co znajdujemy rozwiązanie jednej, a już pojawia się kolejna, o wiele większa. Kolejną z atrakcji stanowią twisty fabularne. Nie są może one na poziomie słynnego „Luke, I'm your father”, ale przy niektórych gwarantowane jest, że dostaniecie zonka.

Język opowiadania jest naprawdę piękny, choć nieco skomplikowany, wystarczy jednak znajomość angielskiego na poziomie licealnym. Wpadek nie ma za dużo, właściwie to jest tylko jedna bardziej zauważalna, związana z imionami postaci na samym początku sagi. Nie jest to coś wielkiego, zwłaszcza, że reszta jest bez zarzutu.

A, zapomniałem dodać – saga jest polecana tym starszym członkom fandomu. Występują w niej momentami drastyczniejsze

sceny, choć nie są to jednak drugie Cupcakes – fani czystego gore dla gore nie mają tu czego szukać. Im dalej od Equestrii, tym więcej takich rzeczy – nie w każdej krainie mieszkańcy są pokojowo nastawieni i wierzą w harmonię – zwyczajnie niektórych mogą was nawet obrzydzać.

Podsumowując – mamy tu do czynienia z czymś – zaryzykuję to określenie, choć może się ono zapewne wydać przesadzone – wybitnym. Już sam ogrom wykonanej pracy godny jest podziwu. Każdy z tomów wciąga do samego końca i nie można się powstrzymać przed chęcią poznania dalszych losów bohaterów. Pełnokrwisti bohaterowie, wciągająca, wielowątkowa fabuła, magiczny klimat, światotworzenie na wysokim poziomie – czego chcieć więcej? Mam szczerą nadzieję, że gdy w końcu opublikowany zostanie ostatni rozdział dwunastego tomu, będę mógł z czystym sercem wydać tę samą opinię. Całą sagę oceniam na 12/10 w mojej skali. Pozdrawiam i życzę przyjemnej podróży na wschód.

P. S.: Saga zawiera wiele nawiązań i easter eggów, a wśród nich znalazł się polski akcent. Zaciekawionym podpowiem, że związany on jest z jednym z członków redakcji naszego pisma (nie, nie chodzi tu o mnie). Miłego szukania!





[Sad][Slice of life]

# Dzień, w którym Trixie powiedziała prawdę

Autor: Hoffman

**D**ługi, polski fanfik, który został ukończony i jeszcze nie był recenzowany na łamach naszego czasopisma? To zdecydowanie trzeba nadrobić, szczególnie że „Dzień, w którym Trixie powiedziała prawdę” jest pozycją ciekawą i wartą polecenia, choć przy tym niepozbawioną wad. Opinie o tym fanfiku są podzielone. Jednak pewne zarzuty się powielają i ja również zamierzam się do tego odnieść.

» Cahan

Przede wszystkim Hoffman napisał fabułę osadzoną w czasie po odcinku „Magic Duel”, ale przed „No Second Prances”. Jest to więc historia alternatywna, w której Twilight jest księżniczką, ale za to nie pojawia się Starlight Glimmer. Dlatego Trixie z tego fanfika nie przypomina tej, którą znamy z sezonów szóstego i siódmego. Zamiast wciąż napuszonej, pewnej siebie i aroganckiej czarodziejki, dostajemy istotę złamaną i zdesperowaną.

Tak, Trixie w „Dniu, w którym Trixie powiedziała prawdę” jest kłaczą w gruncie rzeczy dobrą, którą zepsuło ciężkie źrebięctwo oraz pewna tajemnica, która wyrzuciła życie Twilight Sparkle do góry nogami. Kreacja najmłodszej z księżniczek to coś, co najbardziej zgrzytało wielu czytelnikom. Podejrzewam, że pomysł narodził się wkrótce po alikornizacji Twilight, bo mamy tu postać, której palma odbiła. Twilicorn jest pyszna, wredna i bardzo nieprzyjazna, do tego zapatrzona w siebie, swój sukces. To postać zdecydowanie negatywna i to tak, że wydaje się aż przerysowana.

Jakbym miała ją porównać do czegoś innego, to byłaby to Celestia z „Trzech Stron Medalu”. Czyli postać, która w serialu jest dobra i w porządku, a w fanfiku zmienia się w zwyrodniałą psycholkę. No, może nieco przesadziłam, ale jest bardzo niemiła w stosunku do Trixie, a później również do innych kucyków. Bardzo długo traktowałam to jako wadę i wielu czytelników rzuciło „Dzień, w którym Trixie powiedziała prawdę” właśnie przez to. Jednak pod koniec wszystko się wyjaśnia i powiem, że nawet ma to sens.

W sumie to sama kontynuowałam lekturę między innymi dlatego, że byłam ciekawa, czy to wszystko się wyjaśni. Czemu Twilight jest taka bucowata? I jaką to prawdę powiedziała Trixie? Hoffman ciągnie to wszystko przez naprawdę wiele stron i co najlepsze – to się nie nudzi. Fanfik jest po prostu wciągający i czyta się go zadziwiająco dobrze, nawet pomimo tak wielkiego zgrzytu.

Jednak mimo bucowatej Twilight czy niektórych kucyków, to wciąż mamy ładną kreację reszty Mane 6 (może poza niektórymi kłaczami w dialogach) oraz księżniczek i Spike’a. W sumie to w dużej mierze od nich bije ta serialowa atmosfera i przyjemne ciepło, znane z bajki o pastelowych osiołkach. Główne skrzypce gra Fluttershy, która jest bardzo dobrze oddana i w pełni zasługuje na miano Elementu Dobroci.

Co prawda nie każdemu przypadnie do gustu styl autora, który jest dość kwiecisty, specyficzny i rzekłabym, że czasem przekombinowany, na czym potrafią ucierpieć opisy oraz dialogi, w których dość

głupie bohaterki stają się nagle nazbyt elokwentne. Hoffman pisze w sposób bardzo poetycki, ale na całe szczęście nie jest to poetyckość na poziomie młodego grafomana, który myśli, że pojedyncze kryształowe lzy na tle zachodzącego słońca to pomysł 10/10. W zasadzie, to jeśli ktoś zamierza iść w tym kierunku, to radziłabym właśnie przyrzeć się bliżej między innymi twórczości Hoffmana, bo należy do wąskiego grona osób, którym to wychodzi. Jednak mimo wszystko zdarza mu się przedobrzyć i ma mały problem z powtórzeniami.

Z innych wad? Pojawia się trochę błędów, ale przeciętny czytelnik raczej nawet ich nie zauważy. Hoffman ma dobry warsztat, który pasuje do takiej wielorodzajowej obyczajówki, w której znajdzie się również miejsce dla nieco smutków i akcji. Szczególnie że „Dzień, w którym Trixie powiedziała prawdę” jest w zasadzie opowiadaniem bardzo serialowym. Może poza tym, że niektóre postacie są bardziej złośliwe i paskudne.

Jeśli chodzi o fabułę, to cała akcja kręci się wokół tajemnicy, którą Trixie zdradziła Twilight i choć te dwie są głównymi bohaterkami fanfika, to czytelnicy rozwiązanie poznają dopiero na końcu. Pewnych rzeczy jednak można się domyślić. Poza tym kreacja Trixie na biedną i pokrzywdzoną miejscami jest bardzo przesadzona. I tu nie mam na myśli jedynie tej dziwnej i złej Twilight, bo dla niej wyjaśnienie w fanfiku się znalazło. Dla tych innych kucyków nie. Oczywiście ludzie też bywają okropni, ale tu po prostu momentami przedstawiono to niewiarygodnie.

Mimo wszystko kolejne rozdziały czyta się szybko i przyjemnie, a to za sprawą atmosfery całej opowieści. Obserwujemy wewnętrzne przemiany dwóch klaczy – Trixie, która wyłazi z dołka i wychodzi na kuce oraz Twilight, która do tego dołka wpada i to na własne życzenie. Dlatego polecam tego fanfika fanom obyczajówek oraz historii serialowych. Bez większych wybuchów i laserów, bez zagłady świata i zagrożenia życia.

W opowiadaniu pojawia się też inny kontrowersyjny wątek, który jest związany z Pinkie Pie. Sama uważam, że jest słaby. Jednak jest to tylko coś pobocznego i krótkiego, dlatego nie powiem, by był to duży minus. Poza tym mimo wszystko pasowałoby to do serialu – jest do bólu naiwne i infantylne. Trochę szkoda, bo dałoby się to rozwiązać dużo lepiej. Nie wiem, czy autor nie miał pomysłu, czy uznał, że to pasuje.

Jeśli chodzi o opisy, to jak już wcześniej wspominałam, są dość kwieciste, rozbudowane i poetyckie. Mimo wszystko fanfik nie jest przyciężki i nie powinien nudzić, chyba że ktoś nie jest fanem plasterków życia, które z samej definicji opierają się nieco na czytaniu o niczym. Ale spokojnie, tu opisy budują klimat i tło, a nie wchodzą w otchłanie brudnych zlewów i architektury.

Komu mogłabym polecić to opowiadanie? Cóż, chyba każdemu, kto ma dość cierpliwości, by doczytać do końca. Bo dzięki końcówce ten fanfik wiele zyskuje. Poza tym powinno się spodobać miłośnikom

serialowych klimatów, którzy szukają czegoś innego niż wódka, klacze i lasery. Myślę, że takie osoby się wciągną, bo Hoffman po prostu pisze fajnie, a lektura jego fików daje dużo radochy, a to o to w tym wszystkim chodzi.







[Romance][Drama][Mystery]

# All That Lingers

Autor: Ice Star

**C**zasami liczy się każde słowo. Niektórzy autorzy w zaledwie kilku tysiącach słów potrafią zawrzeć więcej treści niż reszta na dziesiątkach stron wypełnionych bezsensowną paplaniną, z której nic nie wynika. Opowiadanka takie czyta się szybko, przyjemnie, a jak dopisze szczęście, to nawet pozostawią po sobie pozytywne wspomnienia – do właśnie takiej kategorii należy „All that lingers”.

» *Ghatorr*

To krótkie opowiadanko (mające w sumie dziesięć rozdziałów i nieco mniej niż pięć tysięcy słów – często więcej mają pojedyncze rozdziały bardziej rozbudowanych dzieł) autorstwa Ice Stara powstało na konkurs pisarski, którego tematem były hipsterskie parowania. W tym konkretnym przypadku wypadło na Cadance i Sombę.

Przyznam szczerze, że podchodziłem do „All that lingers” jak pies do jeża. Cadance z Sombą, krótkie rozdziały, autor, którego nie kojarzyłem – wszystko zapowiadało katastrofę. Tym milej byłem zaskoczony, gdy okazało się, że Ice Star zdołał napisać zadziwiająco przyjemne i urocze opowiadanie. Ze względu na jego niewielką objętość ciężko coś powiedzieć o fabule tak, by nie powiedzieć za dużo, dlatego ograniczę się do krótkiego opisu – Cadance odkrywa, że w jej zamku znajduje się duch Sombry. O dziwo, całość ma zadziwiająco dużo sensu – to nie jest proste opowiadanko, które na siłę każe dwóm postaciom się w sobie zakochać.

Opowiadanie skondensowane jest do absolutnego minimum, na tyle, by zachować sens i być w stanie opowiedzieć w satysfakcjonujący sposób historię, ale równocześnie nie ryzykować z drugoplanowymi wątkami i unikać dłużyzn. Z tego też powodu jedynymi postaciami, które występują – przynajmniej osobiście, bo kilka innych jest wspomnianych – są Sombra i Cadance. Autor rozwinął je obie – mrocznego króla ciężko byłoby nie rozwinąć, bo w serialu jego rola ograniczała się do powarkiwanie i bycia złym, ale Cadance już przeszła sporą przemianę. Czuć, że nie jest to ta sama różowa księżniczka, którą poznaliśmy jako więźnia Chrysalis.

Ze względu na niewielki rozmiar każde słowo w opowiadaniu jest na wagę złota. Na szczęście autor dobrze operuje językiem angielskim – często gra na niedopowiedzeniach i ukrytych znaczeniach i nie marnuje niepotrzebnie opisów na rzeczy, które nie są mniej lub bardziej ważne dla fabuły. Nie ma żadnych błędów ani literówek, które by przeszkadzały w czytaniu.

Choć pisanie o romansie Sombry i Cadance mogło zakończyć się bardzo, bardzo źle, to „All that lingers” okazało się ostatecznie przyjemnym i rozsądnie napisanym opowiadaniem. Rozdziały są krótkie, dzięki czemu czyta się je dość szybko. Nie zajmuje to dużo czasu – ale nie jest to czas zmarnowany.



[Romance][Comedy][Slice of Life]

# Defender of Justice, King Sombra!

Autor: VashTheStampede

**C**zasem można natrafić na opowiadanie, od którego po prostu nie można się oderwać. Język, fabuła, postacie – wszystko jest dopieszczane aż do granic możliwości i gdyby nie nawiązania do serialu, to wystarczyłoby przerobić kilka rzeczy i wydać to w formie książkowej. Są też takie, od których jad sam napływa do kłów; które są tak złe, że aż dobre, i doskonale się nadają do napisania dłuższych recenzji, bo słowa potępienia aż spływają na kartkę. Niestety, czasem pojawiają się opowiadania z trzeciej kategorii – przeciętniaki. Czyta się je nieźle, nawet od czasu do czasu sprawiają frajdę, tylko jak potem je niby zrecenzować...?

» *Ghatorr*

„Defender of justice, King Sombra!” zaczyna się z grubej rury – oto mroczny tyran, były władca Kryształowego Imperium, powraca do życia. Okazuje się jednak, że śmierć spowodowana przedawkowaniem miłości i szczęścia (i to jeszcze nie swojego) powoduje solidne zmiany w psychice, przez co nasz główny bohater doznaje szybszego i silniejszego nawrócenia niż święty Paweł w drodze do Damaszku. Rozpaczając nad faktem, że był w przeszłości bardzo niemiłym kucykiem, rusza przed siebie, w końcu wpadając na wycieczkę żrebaków z sierocińca, którymi zajmują się Redheart i jej brat Snowflake (tak, w tym opowiadaniu ta parka jest rodzeństwem i wciąż mieszkają w jednym domu). Tak oto zaczyna się jego... hm, w sumie ciężko określić, co się właśnie zaczyna.

To jest właśnie największą potencjalną wadą tego opowiadania. Sombra, 'Defender of justice', stawanie się lepszym kucem – to wszystko ma potencjał na coś, czym to opowiadanie nie jest. Mroczny król, którego znamy z serialu, jest od pierwszych scen płacziwą pierdołą, która drży ze strachu na myśl o Twilight czy, o zgrozo, Cadance. Nie ma miejsca na żadne stopniowe uświadamianie sobie przeszłych grzechów, problemów i innych tego typu rzeczy – wszystko zwala się na niego od razu, nie pozostawiając w nim nawet najmniejszych miejsc na wątpliwości, zaprzeczenia czy próby przekonywania siebie, że może nie wszystko było takie straszne. Ba, nawet sam tytuł jest mylący – bowiem Sombra niezbyt się zajmuje obroną sprawiedliwości. Co gorsza, czasami wygląda to tak, jakby jedyną postacią, której na serio przeszkadza fakt, że mroczny król Kryształowego Imperium sobie wesoło biega w okolicach Ponyville, jest on sam. Potencjał byłego tyrana jest w dużym stopniu niewykorzystany lub wręcz zmarnowany.

Czym więc w takim razie jest „Defender of Justice, King Sombra!”? O dziwo – jest to opowiadanie obyczajowe, ze sporymi dawkami romansów. Nawrócony tyran może i unika mrocznej magii, stanowczo za dużo płacze, ale z jego archaicznym nastawieniem i niezbyt rozbudowanymi umiejętnościami społecznymi, Ponyville poznawane z jego perspektywy wygląda całkiem ciekawie. Wątki romantyczne są dość proste i nie muszą radzić sobie z żadnymi poważniejszymi problemami (nawet takim problemem, że oficjalnie król Sombra jest

ludobójcą, tyranem i w ogóle to większość kucy w ficu powinna zachowywać się o wiele mniej przyjaźnie w stosunku do niego), ale pasują do ogólnego profilu opowiadania. Niestety, największym problemem jest to, że brakuje większych problemów do rozwiązania – rzadko kiedy pojawia się napięcie, a nawet jeśli autorowi zdarza się zakończyć rozdział w sposób, który mógłby zapowiadać jakieś kłopoty, to zostają one szybko rozwiązane. Nie przeszkadza to za bardzo, jeśli weźmie się pod uwagę, że jest to tylko niezbyt skomplikowane opowiadanie obyczajowe, ale po opowiadaniu z dobrą Sombłą można by jednak się spodziewać, że czasem przeszłość go ugryzie w tyłek.

Oczywiście Sombra – jaki by nie był – nie jest jedyną postacią w opowiadaniu. Autor całkiem dobrze radzi sobie ze stworzonymi przez siebie postaciami oraz kucykami tła. Redheart, jej brat czy inne postacie z sierocińca, w którym pomagają, mają swoje własne charaktery, plany, marzenia – nie są zwykłymi marionetkami pisarza. Niestety, nie dotyczy to bohaterek z Mane 6 czy księżniczek, których autor albo nie potrafił tak naturalnie prowadzić, albo po prostu mu pasowało, by od czasu do czasu służyły tylko za wygodny pretekst do dostarczenia kolejnej sceny, w której Sombra będzie się nad sobą żałośnie użalał. Ewentualnie by rozpętać niewielką imprezę, na której będzie można się bawić przez rozdział czy półtora. Twilight na pewno wezwie Celestię, Pinkie na pewno będzie chciała się bawić, Celestia może i jest księżniczką, ale szybko się okaże, że byle wieśniara z Ponyville potrafi wygłosić jej tyradę, że źle postępuje i powinna się wstydzić, i tak dalej... całe szczęście, że oryginalnych postaci jest na tyle dużo, by mogły dalej ciągnąć akcję.

Przyjemności z czytania nie psuje styl. Autor radzi sobie z językiem angielskim na akceptowalnym poziomie, choć okazjonalne zjadanie przecinków, dziwnie brzmiące zdania czy małe ściany tekstu potrafią czasem zirytować uważnego czytelnika. Nie jest to może język

godny Szekspira, ale w opowiadaniu obyczajowym takowy by tylko przeszkadzał – więc mogę śmiało powiedzieć, że styl dobrze współgra z treścią, którą przedstawia.

„Defender of Justice, King Sombra!” to nie jest dzieło sztuki. Nie jest to jednak również zły fic. To jest tylko – albo aż – porządny kawał rzemieślniczej roboty. Wszystko zależy od tego, z jakim nastawieniem się do niego podejdzie, jak wielkie oczekiwania będzie się mieć wobec – dość niemrawego – Sombry oraz od naszego zdania na temat opowiadań romantycznych. Mnie w trakcie czytania nawiedzało całkiem spore spektrum emocji – z reguły było to zażenowanie lub poirytowanie (naprawdę, byli królowie nie powinni się tak zachowywać), ale od czasu do czasu opowiadanie spełniało swój cel i sprawiało, że czułem przyływ ciepła w serduchu. Jak już napomknąłem we wstępie, opowiadania przeciętne trudno ocenić – dlatego liczę, że każdy, kto przeczyta recenzję i dowie się z niej, czego oczekiwać (a czego nie) po „Defender of Justice”, będzie w stanie sam wystawić ocenę. Ja, koniec końców, bawiłem się całkiem nieźle.



NIE MOŻESZ SPAĆ PO NOCACH? NUDZI CI SIĘ? MASZ ZA DUŻO WOLNEGO CZASU?  
MASZ DZIWNE POGLĄDY I CHCESZ SIĘ NIMI PODZIELIĆ Z LUDŹMI  
KTÓRZY MAJĄ JESZCZE DZIWNIEJSZE?  
NIE SZUKAJ DALEJ. TO JEST MIEJSCE DLA CIEBIE.



**KUCYKOWYTEAMSPEAK.PL**

NASZ TEAMSPEAK ZAPEWNI:

PRZYJAZNE ŚRODOWISKO - TOLERANCYJNYCH UŻYTKOWNIKÓW.

WYKWAŁFIKOWANĄ ADMINISTRACJĘ, KTÓRA ZAWSZE ZNAJDZIE DLA CIEBIE CZAS.

NIEZAPOMNIANE ROZMOWY O SENSIE ŻYCIA - WIELE KANAŁÓW TEMATYCZNYCH.

KAŻDY ZNAJDZIE U NAS COŚ DLA SIEBIE :)

**"PONIES... PONIES NEVER CHANGE."**

**Fallout**  
**EQUESTRIA PL**

**ROBIONE PRZEZ IDIOTÓW,  
DLA IDIOTÓW.**

**FALLOUT-EQUESTRIA.PL**



# Wycieki z sezonu ósmego

Oraz z generacji piątej

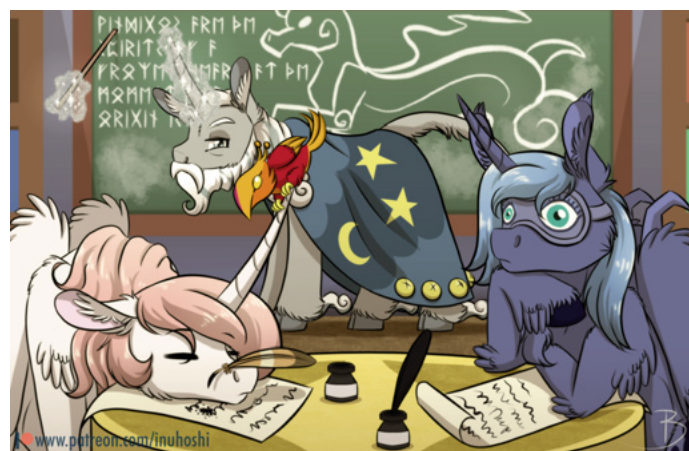
**W**itajcie! Pewnie wielu z Was już słyszało o tym, że skradziono i upubliczniono pewne informacje odnośnie generacji piątej taboretów oraz osiem odcinków i streszczenie sezonu ósmego. Zapoznałam się z nimi i zamierzam im poświęcić ten artykuł. W sposób możliwie bezspoilerowy. Co prawda, niektórzy mogą uważać to za niemoralne, ponieważ owe materiały trafiły do Internetu w sposób nielegalny, dlatego zacznę od rozpatrzenia tej kwestii od strony moralnej.

» *Cahan*

Zgadzam się, że oglądanie tych wycieków w pewnym sensie jest niemoralne, ale nie bardziej niż oglądanie odcinków na Dailymotion czy Youtube. Dlaczego? Hasbro na tym generalnie nie traci. Hasbro zarabia na sprzedaży zabawek, a nie na tym, że ktoś ogląda ich serial. Co prawda, jest to ze sobą powiązane, ale to, że bronies obejrzą odcinek z innego źródła niż oficjalne, nie wpłynie na to, czy kupią zabawki. A małe dziewczynki wycieków raczej nie oglądają.

Powstały nawet teorie, że to samo Hasbro wypuściło przedwcześnie te materiały. Osobiście w to wątpię, chyba że zatrudniają rosyjskich hakerów, bo to podobno ich dzieło. Niemniej jednak byłby to raczej zły krok marketingowy, ponieważ pokazuje, jak ta firma ma niesamowicie słabe zabezpieczenia. Jeszcze jakby to było jedno włamanie... Ale było ich więcej.

W pewnym sensie te wycieki mogą nawet Hasbro pomóc. Jak wspominałam już wcześniej, nie mają one żadnych wpływów na zyski z grupy docelowej, ale bronies to skomplikowane bestie. Bronies to stworzenia marudne i niechętne zmianom. Za każdym razem, kiedy serial wprowadzi coś nowego – Twilicorn, inny alikorn, Starlight, coś czego nie było w sezonie pierwszym – pojawiają się płacze, że serial to już nie to samo, co kiedyś, stoczył się, zmienił w komercję i w ogóle. Wtedy następuje masowa fala odchodzeńfandomuizmu. Mija parę miesięcy i wszystko się uspokaja, a wielcy wrogowie zmian w wielu przypadkach się do nich przekonują. Ile dzisiaj mamy zaciekłych wrogów Twilicorna? Niewielu.



Sądzę, że podobne zjawisko zajdzie w przypadku generacji 5. Fani zdążą się oswoić, że to będą inne bohaterki, lecz z podobnym wyglądem i tymi samymi imionami. Czas działa tu na korzyść Hasbro, tak samo jak w przypadku Twilicorna.

Teraz fandom się podzielił na tych, którym się to podoba, i tych, dla których nie do pomyslenia są Pyra Sparkle i AJ, która nie jest ze wsi. Do tego Flutterrożec i Pinkie Wing. W dodatku pewnie będzie inny styl kreski, a animacja nie powstanie w tym dziadowskim Flashu. Gdyby G4 było rysowane w Paincie i animowane przy pomocy kalkulatora, to fandom i tak by narzekał podczas zmian.



Hasbro prawdopodobnie nie ustaliło jeszcze ostatecznej wersji projektów Mane 6 2.0, bo pojawiło się parę propozycji. Wiele z nich wygląda naprawdę wspaniale. Przynajmniej według mnie. Kucyki są smuklejsze i wyglądają dużo zgrabniej. Osobiście zawsze uważałam projekty Lauren Faust za sympatyczne, ale nieco pokraczne. Te podobają mi się dużo bardziej. To chyba kwestia tego, że nie lubię konikowych klusek.

Ale zanim powstanie generacja 5, to czekają na nas jeszcze dwa sezony G4. I tu wyciekło naprawdę sporo, bo aż osiem odcinków. Zdążyłam zobaczyć je wszystkie. Nie będę mówić, co się w nich znajdowało i jak oceniam je z osobna, bo nie chcę psuć rozrywki tym, którzy takiej szansy nie mieli bądź czekali na emisję wersji ukończonej, bowiem wyciekom brakowało muzyki i dźwięków tła. Poza tym wszystko było z nimi w porządku.

Sezon ósmy jest inny i to zupełnie inny niż poprzednie, choć powiedziałabym, że w zasadzie jest kontynuacją zmian, które powoli wprowadzał dobrze odebrany przez fanów sezon siódmy. Ma zupełnie inny klimat, dużo nowości i nowych postaci. Również nie zaniedbuje starych bohaterów i rozwija ich w fajny sposób. Jak dla mnie ta świeżość jest bardzo na plus, bo przez ostatnie sezony twórcom często brakowało pomysłów i ciągle serwowali to samo czy odcinki wprost nudne. Oczywiście zdarzały się wyjątki, no i wprowadzono duet Starlight & Trixie, ale wciąż to wszystko zdawało się takie pozbawione wizji i pomysłu.

Większość z tych ośmiu odcinków była bardzo dobra. Uważam, że to wystarczająca próba, by nastawić się na to, że dostaniemy coś dobrego. Przede wszystkim – w końcu ktoś chwycił za stery i uporządkował ten chaos oraz pewnych bohaterów, którzy wcześniej byli na doczepkę. Naprawdę cieszę się, że takie postacie, które dotąd przewijały się gdzieś na drugim planie, dostają swoje pięć minut. Oczywiście znajdzie się też parę rażących rzeczy, ale mimo wszystko całość prezentuje się świetnie.

Dodatkowo wyciekła też lista, która zawiera krótkie opisy wszystkich odcinków, więc wiem już, co wydarzy się w pozostałych odcinkach. Powiem tak: będzie bombowo. Dziwnie, może trochę pod fanów, ale bombowo. Lista jest prawdziwa, bo zgadza się z resztą wycieków. Cóż, nie mogę się już doczekać, aż ten sezon pojawi się w telewizji, bo chętnie zobaczę wszystko jeszcze raz, ale z pełnym dźwiękiem. Nie mówiąc o tym, co nie wyciekło.

Czy polecam zapoznanie się z tymi materiałami? I tak, i nie. Tak, ponieważ są fajne, ciekawe i mogą zwiększyć Wasz entuzjizm odnośnie tego, co przyjdzie. A czemu nie? Cóż, pochodzą z kradzieży. Oczywiście widziało je jakieś pół Internetu, a odcinków na Dailymotion czy innym Sparkle Subs bynajmniej nie umieściło Hasbro, ale... Moralność jest względna. Tę decyzję zostawiam już Wam. Odcinki zdjęto i raczej już ich nie zobaczycie, ale streszczenie sezonu oraz prezentacja Hasbro i projekty nowego Mane 6 wciąż krążą w wielu miejscach.

# NICOLAS DOMINIQUE

Your daily dose of addictive music

## Wywiad z Nicolasem Dominique

**M**oim gościem jest Niklas, znany w fandomie jako Nicolas Dominique. Twórca fandomowej muzyki, poniaczowych fików oraz autor tłumaczeń. Zapraszam.

» *Sosna*

**Sosna:** Witaj. Na początku rozmowy chciałem zapytać, co sprawiło, że zacząłeś interesować się serialem, a także kiedy zaczęła się twoja fandomowa przygoda?

**Niklas:** Od Kirary, z którą znałem się poprzez forum Pokemon Polska. Już od jakiegoś czasu słyszeliśmy o dziwnym fenomenie jakichś tam kolorowych kucyków i nie rozumieliśmy, czym tu się tak zachwycać. No ale tak ciekawość rosła i rosła, aż w końcu Kira się zdecydowała to obejrzeć. Wkrótce potem zarekomendowała mi obejrzenie serialu, no to się odważyłem. Obejrzałem początkowe odcinki: były w porządku, acz nie widziałem w nich nic nadzwyczajnego jak na takie zachwyty. Ale mimo tego, oglądałem dalej... Nagle w okolicach 7 czy 8 się zorientowałem, że wsiąknę w te kolorowe salcesony... a od pamiętnego Winter Wrap Up popłynąłem już na całego.

W sumie najłatwiej obrać datę mojej rejestracji na forum: 1 października 2011 roku.

**Sosna:** Która postać z serialu najbardziej spodobała ci się na początku i jak oceniasz jej rozwój na przestrzeni 7 sezonów serialu?

**Niklas:** Początkowo były dwie. Twilight oraz Fluttershy, z którą wtedy się utożsamiałem. Ale jakbym miał wybrać

jedną to zdecydowanie Book Horse. A Twi przeszła chyba najwyraźniejszą przemianę ze wszystkich... i nie mam tu na myśli skrzydełkowania. Z zaczytanego mola książkowego bez przyjaciół i potrzeby jakiegokolwiek integracji z innymi stała się liderką, zyskała przyjaciół, a później także swój tytuł księżniczki przyjaźni. No i ma również uczennicę - Starlight. Acz dobrze, że po swoim awansie społecznym nie okazała się nagle być zawsze perfekcyjną i nieomylną. Chociaż już nie panikuje jak dawniej, że Celestyna wyśle ją na Księżyc, bo ta nie napisała listu, to wciąż zdarza jej się coś palnąć (pamiętne odcinki z Trixie).

**Sosna:** Którą z księżniczek uważasz za najlepszą i dlaczego?

**Niklas:** Celestię. Za jej dobroć i opanowanie. Za poczucie humoru i że w pojedynkę utrzymała to wszystko w ryzach przez tysiąc lat. Aż tylko boli, że fabuła serialu wymaga, by za każdym zagrożeniem pokazać księżniczki jako słabe i niekompetentne.

**Sosna:** Czy twoim zdaniem zmiany zachodzące w serialu są dobre, czy słabe? Który sezon serialu jest twoim ulubionym, a który lubisz najmniej i dlaczego?

**Niklas:** Wydaje się, że serial się stara cały czas rozwijać bohaterki i coraz rzadziej mamy w nim do czynienia z takim regresem, bo tego wymaga fabuła (oj, ile razy Fluttershy się to przydarzyło). Minusem zaś paradoksalnie jest tutaj... Twilight. Tutaj momentami miałem wrażenie, iż spotkał ją syndrom księżniczki - czasami po prostu jest... i tyle.

W S7 powstał ciekawy koncept Filarów Equestrii i połączenia ich historii z komiksami, gdzie możemy poznać je lepiej. To zdecydowanie na plus i mam nadzieję, że będzie to kontynuowane w S8.

Ulubiony to chyba będzie S2, bo to w jego okolicach zainteresowałem się tym wszystkim. Najmniej zaś lubię S3. Za rozczarowującą ilość odcinków, za dwa odcinki, które zrobiły ze Spike'a kompletnego niedojdę (Spike at your service, Just for sidekicks) oraz za gnający na łeb na szyję musicalowy Magical Mystery Cure, który aż się prosił, by go rozbić na dwie części.



**Sosna:** Jak oceniasz spin-offy serialu, czyli Equestria Girls?

**Niklas:** Są w porządku. Pierwszy film lekko niedomagał, ale drugi wynagrodził to z nawiązką. Trzeci i Czwarty z serii są dość nierówne, idą taką sinusoidą jakości. Mini seria tych trzech odcinków również ujdzie, a Mirror Magic cud-miód-orzeszki, bo poni Sunset.

Tych ostatnich krótkich odcinekczków nie oglądałem.

**Sosna:** Widziałeś MLP Movie? Co o nim sądzisz?

**Niklas:** Widziałem i jest również nierówny. Z jednej strony mamy naprawdę wspaniałe wizualia i design różnych krain, z drugiej paskudne CGI jak statki Storm Kinga. Mamy naprawdę mocne postacie jak Tempest, a i takie, które są, po czym znikają bez śladu (Grubber, Novo). I po raz kolejny książeczki to niemożliwość. Rozumiem, że Cadance mogła dać się schwytać, bo efekt zaskoczenia mocą kul Tempest, ale pozostałe? No i czy w całym Canterlot nie ma ani jednego strażnika? Wiem,

że przede wszystkim to film dla młodszej widowni, ale to wcale nie znaczy, że musi być aż tak... momentami nielogiczny.

Niemniej jednak, dobrze było go obejrzeć. Emily Blunt

**Sosna:** Co skłoniło cię do pójścia na twój pierwszy meet?

**Niklas:** Trudno powiedzieć, zapewne ciekawość.

**Sosna:** Kojarzysz jakieś dziwne, tudzież śmieszne zdania, które przytrafiły ci się podczas meetów?

**Niklas:** Dziwne może nie, ale pozytywnym momentem zdecydowanie mogłaby być sytuacja z meetu w Elblągu, gdzie nagle się dowiedziałem, że przynajmniej dwójka osób z zespołu Przewalski's Ponies zna moją twórczość i są wielkimi fanami. Miło było coś takiego usłyszeć.

**Sosna:** Który z meetów, na którym byłeś najbardziej zapadł ci w pamięć i dlaczego?

**Niklas:** Wspomniany wcześniej meet w Elblągu (powody podane w poprzednim pytaniu), no i warszawski, który głównie się zapamiętało z powodu dużych upałów i robienia mikromeetu w aucie z klimą.

**Sosna:** Co skłoniło cię do napisania pierwszego opowiadania w klimacie MLP?

**Niklas:** To było już tak dawno temu, że nawet nie pamiętam. Zakładam, że będąc zafascynowany pucatkami, miałem w głowie pełno historii, które można by było obsadzić w ich świecie, a skoro inni już wcześniej się zdecydowali, uznałem, że czemu samemu by nie spróbować?

**Sosna:** Planujesz może jeszcze pisać całkiem nowe historie dziejące się w świecie kucyków lub bardziej rozbudować twoje już istniejące dzieła?

**Niklas:** Planowałem, ale na chwilę obecną nie mam odpowiedniej weny, by coś takiego zrobić.

**Sosna:** Okej. Przejdźmy zatem do innej dziedziny twojej twórczości. Jak długo zajmujesz tłumaczeniami fików i od którego zaczęła się twoja przygoda z tłumaczeniem?

**Niklas:** Niektórzy kojarzą mnie z ekipy tłumaczącej Past Sins, ale tak naprawdę to się zaczęło od „słynnego” Cupcakes. Nie uważam tego za coś dobrego, ale cóż... jednak takie były moje początki, zanim dostałem się do Past Sins i nim zacząłem robić tłumaczenia solo.



**Sosna:** Kiedy zacząłeś tworzyć muzykę inspirowaną serialem oraz co spowodowało, że to właśnie serial stał się inspiracją twojej twórczości?

**Niklas:** Ogółem muzyką zacząłem się bawić jeszcze w 2001 roku, kiedy w CD-Action zamieszczono program Modplug Tracker. Tak na poważnie zacząłem się tym bawić w okolicach 2009 roku. Pierwszy utwór powiązany z salcesonami powstał w listopadzie 2011 roku i był to instrumentalny remix słynnego Rainbow Factory. Dość przewrotnie nazwałem ten remix „Horrible Mix”, bo w tamtym czasie byłem swoim największym krytykiem. Na przekór wszystkim uważałem, że to „coś” jest beznadziejne, a jednak wielu polubiło moją wizję. Z kolei pierwszym oryginalnym, nie będący żadną przeróbką, dziełem został utwór „Everypony’s World” z grudnia 2011 roku. Od tego momentu minęło niewiele czasu, aż wypuściłem utwór „Raise the Sun” (wtedy pisany z błędem jako „Rise the Sun”) na początku 2012 roku, a który sprawił, iż zostałem nieco szerzej dostrzeżony w fandomie. I chyba to było moje pierwsze dzieło wyróżnione przez Equestria Daily w osobnym poście.

**Sosna:** Co sprawia ci największą radochę w tworzeniu muzyki?

**Niklas:** Zdecydowanie możliwość dzielenia się swoją pasją z innymi. Miło widzieć, czy raczej słyszeć, że to, co właśnie tworzę, trafia do innych i sprawia im przyjemność podczas słuchania. No i też całkiem ciekawe jest moment, kiedy z zagranych z nutów kilku utworów tworzy się całe dzieło, które później sprawia wiele radości innym.

**Sosna:** Którego artystę fandomowego podziwiasz najbardziej i dlaczego?

**Niklas:** Szczerze mówiąc, nie wiem czy potrafiłbym kogokolwiek wskazać. Ale być może mógłbym wybrać mojego chorwackiego przyjaciela Thorinaira, który choć ostatnio się nieco wycofał z tworzenia muzyki, niedawno do tego powrócił, a jednocześnie bardzo się rozwinął w DJ-ce.

**Sosna:** A z artystów pozafandomowych mógłbyś wskazać kogoś takiego?

**Niklas:** Pogo, magik muzyczny z Australii. Wsławił się kilka lat temu robiąc swoje utwory wykorzystując sample ze starych filmów Disneya. I mimo upływu lat, nie poddał się trendom i nie zatracił swojego czarodziejskiego uroku. I bardzo to doceniam.

**Sosna:** Masz może jakieś historyjki, z historii twórczości

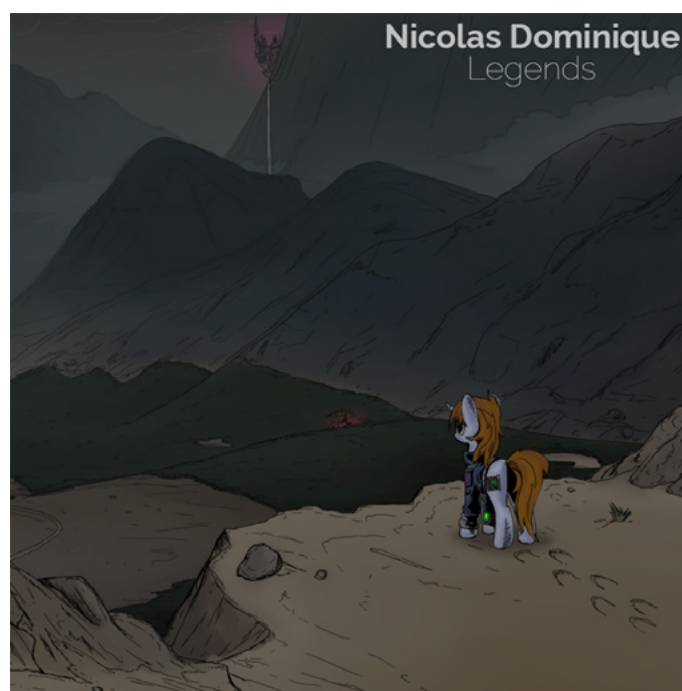
lub fandomowej, którymi chciałbyś się podzielić?

**Niklas:** Co masz na myśli?

**Sosna:** No na przykład jakieś ciekawostki czy historie związane z ludźmi, których spotkałeś w fandomie poza tą z elbląskiego meetu.

**Niklas:** Z ciekawostek muzycznych mogę podać dwie. Najszybciej stworzony utwór, który stworzyłem, powstał w 15 minut. Jest to „Muffin Rain”, inspirowany postacią Derpy. Do sieci trafił godzinę po emisji odcinka, co zdecydowanie pozwoliło mu na zdobycie taga „that was fast”.

Z kolei mój najdłużej tworzony utwór zajął ponad pół roku. Mowa tu o moim utworze „First Night Outside” nagrany z Giggly Marią. Sama melodia powstała dość szybko, bo chyba w tydzień, acz oczekiwanie na wokale przedłużało się w nieskończoność. W którymś momencie wręcz sądziłem, iż Maria postanowiła zrezygnować z projektu... gdy nagle odezwała się, że właśnie kończy prace i już wkrótce mogłem złożyć utwór w całość.



**Sosna:** A tak średnio ile czasu poświęcasz na to by stworzyć jeden utwór?

**Niklas:** Kiedyś, gdy nie przykładałem się wybitnie do technikaliów typu mixing czy mastering, potrafiłem robić utwory co godzinę. Obecnie wszystko zależy od siły mojej weny, ale poza tym staram się dać utworom co najmniej tydzień. By upewnić się, że brzmią odpowiednio dobrze i że nie posiadają żadnych nieprzyjemnych niespodzianek jak szumy, przestery, itp.

**Sosna:** Gdybyś mógł wybrać jednego artystę z fandomu, z którym chciałbyś współpracować podczas tworzenia muzyki kto by to był i dlaczego?

**Niklas:** Dawniej z pewnością mógłbym wymienić kilku twórców (PinkiePieSwear, Sim Gretina chociażby), ale obecnie nie wydaje mi się, bym mógł wskazać kogoś konkretnego. Mam dość... specyficzny tryb pracy i zwyczajnie wygodniej jest iść tą ścieżką samemu.

**Sosna:** Niemniej okazjonalnie współpracujesz z innymi twórcami. Jak udaje ci się z nimi dogadać? Sami się zgłosili z propozycją współpracy czy poprosiłeś ich o to?

**Niklas:** Wiesz, aż sprawdziłem swoją stronę na YT, żeby zobaczyć, jak bardzo okazyjnie to wychodzi. Jedna strona obecnie sięga do 10 stycznia 2017 roku. Wiesz, ile w tym czasie powstało moich utworów ze współudziałem kogoś innego? Jeden. "Fall Down", który powstał z udziałem Dalkena Starbyne'a, a którego poprosiłem o wokale. W sumie jest on tym nielicznym, z nim zawsze dobrze mi się pracowało, bo rozumiał moje pomysły (drugą taką osobą był Flyghtning). Zwykle, niestety, albo nie ma chemii, albo weny.

**Sosna:** Z perspektywy czasu jak oceniasz swój pierwszy utwór?

**Niklas:** Mała poprawka, bo wkraść się błąd w jednym z pytań: pierwszy oryginalny utwór to „In the Background” z płyty Everypony's World.

A jak oceniam pierwszy remix i oryginalny utwór? Pierwszy ma fatalny mastering i wszystkie dźwięki „wylewają” się na siebie, co słyhać dość wyraźnie. Drugi z kolei jest za długi i zbyt powtarzalny.

**Sosna:** A który z twoich utworów powstały bez współpracy z innymi sprawił ci najwięcej trudności i z czego one wynikały?

**Niklas:** Stworzenie jakiegokolwiek utworu poświęconego Somnambuli. Ilekroć się za to zabierałem, nie brzmiał odpowiednio albo wychodziło mi coś z zupełnie niepasującym do postaci klimatem. Poza tym utwór „Exploration” z albumu Guiding Light. Pewna rzecz powodowała, że wszystkie dźwięki melodii były delikatnie opóźnione względem pozostałych instrumentów. I nie potrafiłem znaleźć powodu takiego stanu rzeczy. Dopiero niedługo przed premierą płyty odkryłem przyczynę. Używany przeze mnie wirtualny instrument źle się przetwarzał podczas ostatecznego

składania utworu do pojedynczego pliku wav. Wystarczyło zaznaczyć jedną małą opcję, korektę zakłóceń. Momentalnie pozbyłem się wszystkich problemów z tym utworem.

**Sosna:** Jako, że wywiad zbliża się ku końcowi pozwól, że zadam ci kilka pytań, które nie dotyczą twojej twórczości, ani fandomu, tylko specyficznie ciebie jako osoby. A więc może zdradzisz, co studiowałeś?

**Niklas:** Filologię polską, rzecznictwo prasowe.

**Sosna:** Czy to jest coś, co pozwala ci się utrzymać? W sensie, czy znalazłeś pracę powiązaną niejako z twoim kierunkiem studiów?

**Niklas:** Nie.

**Sosna:** To gdzie pracujesz, jeśli nie jest to jakąś tajemnicą?

**Niklas:** Niechaj jednak pozostanie tajemnicą.

**Sosna:** To jeszcze z pytań ogólnych. Jaka jest twoja ulubiona gra oraz album muzyczny?

**Niklas:** Na chwilę obecną jest to Overwatch. Lubię też Dead Cells.

Co do albumów, nie wiem, który nazwałbym ulubionym. Ale jeśli pozwolisz wymienię kilka, do których powracam od czasu do czasu.

The Alan Parsons Project - Eye on the Sky

Dune - Dune

Jean-Michel Jarre - Oxygene

Enigma - MCMXC a.D.

Underworld - dubnobasswithmyheadman

**Sosna:** I na koniec jeszcze jedno pytanie. Masz jakieś sprecyzowane plany na przyszłość, czy żyjesz dniem obecnym i czekasz, aż wydarzy się coś ciekawego?

**Niklas:** Zdecydowanie tu i teraz. Przynajmniej nie trzeba się obawiać, że jakiś nagły koniec świata ci zniweczy twój pieczołowicie wyplanowany i zaplanowany plan

**Sosna:** Dzięki ci zatem za poświęcony czas i chęć do odpowiadania na pytania.

**Niklas:** Pozdrawiam serdecznie.



# Rysowanie to magia

**W**ielkimi krokami zbliża się najlepszy czas w życiu studenckim. Te dni, w których trzeba przysiąc i sprawdzić, czy cokolwiek się jeszcze pamięta z początku semestru... Studia, szkoła – na pewno bardzo ważna rzecz, ale nie samą nauką przecież żyje człowiek, co nie, cukiereczki? Trzeba czasem zaczerpnąć trochę kultury i narysować kolorowego konika, bo przecież każda okazja jest dobra, by porozmawiać o kredkach.

» Moonlight

## Kolejny plastyczny kolos wkracza na ring DERWENT

Derwent Cumberland Pencil Company to, jak wskazuje nazwa, angielska firma produkująca kredki od początku XIX w. Pierwsze egzemplarze powstały w 1832 r. w małej fabryce w Keswick, w której aktualnie znajduje się założone przez tę firmę Muzeum Ołówka, a właściwie: "Derwent Pencil Museum: home of the world's first pencil!" (Nie wiem, jak Wy, ale ja już wiem, gdzie będę chciała pojechać podczas kolejnej wizyty w Anglii). Ich nazwa wzięta się najprawdopodobniej od jeziora Derwent Water, nad którym leży Keswick. Podobnie jak poprzednia firma, którą omawiałam, Derwent ma szeroką gamę swojego asortymentu. Głównie są to wszelkiego rodzaju kredki i ołówki – od zwykłych przez pastelowe po wodorozpuszczalny tusz w bloczku lub zamknięty w drewnie. Prócz nich oferują również wiele ciekawych i ułatwiających pracę akcesoriów, takich jak elektryczna temperówka (prawdziwe wybawienie,

gdy ma się ponad 300 kredek) czy też elektryczna, precyzyjna gumka. Derwent cały czas się rozwija i co jakiś czas wypuszcza na rynek nowy produkt. Aktualną nowinką są kredki rysunkowe Procolour, które według producenta, powstały z połączenia najlepszych cech zestawów Artist i Coloursoft.

## Kredki Derwent Artists pastelowy zestaw ratunkowy

DERWENT ARTISTS / 72  
FINE ART COLOUR PENCILS  
DERWENT CUMBERLAND

Colorsoft  
ART 5000  
DAG

0100 BINE YELLOW	2500 DARK VIOLET	4900 DAP GREEN	
0200 LIMON Cadmium	2600 LIGHT VIOLET	5000 COOL GREEN	
0300 GOLD	2700 BLUE VIOLET LIME	5100 DUPE GREEN	
0400 PINKISH YELLOW	2800 DELFT BLUE	5200 BONNIE	
0500 SILVER YELLOW	2900 ULTRAMARINE	5300 SOPHIA	
0600 DUSTY COPPER	3000 SHALE BLUE	5400 BURTON INDIGO	
0700 VAPOR YELLOW	3100 DUSTY BLUE	5500 BROWN INDIGO	
0800 ROSE SILVER	3200 DUSTY BLUE	5600 WANDER RED	
0900 EMERALD	3300 LIGHT BLUE	5700 SAND LIME	
1000 LAMP	3400 SKY BLUE	5800 BROWN LIME	
1100 ORANGE SILVER	3500 RUSTY BLUE	5900 GOLDEN RED	
1200 SCARLET LIME	3600 INDIGO	6000 BURN YELLOW	
1300 PINK VERMILION	3700 ORIENTAL BLUE	6100 COPPER SILVER	
1400 RED VERMILION	3800 KANTONER BLUE	6200 BURN SIENNA	
1500 DEBILISH LIME	3900 TARDYON BLUE	6300 VERMILION RED	
1600 FRESH PINK	4000 TERRACE GREEN	6400 TERRA LIME	
1700 DARK MAGENTA	4100 DARK GREEN	6500 BURN LIME	
1800 ROSE PINK	4200 DUPPE GREEN	6600 CHOCOLATE	
1900 MIDDER SILVER	4300 BURN GREEN	6700 WASH BLACK	
2000 GENTIAN LIME	4400 WATER GREEN	6800 BURN SILVER	
2100 BASE MAGENTA	4500 MINERAL GREEN	6900 QUARTZ	
2200 MAGENTA	4600 SHERMAN GREEN	7000 PINK SILVER	
2300 MIDDER PURPLE	4700 GRASS GREEN	7100 SHADE SILVER	
2400 RED VIOLET LIME	4800 HAY GREEN	7200 CRISP WHITE	

DERWENT  
DRAWING  
WHITE

Kucyki, a zwłaszcza kucykowe OCKi, mają to do siebie, że bardzo lubią stroić się w słodkie, milutkie, pastelowe kolorki. Jeśli miałabym polecać kredki tylko przez ten pryzmat, to Derwent Artist byłyby bardzo wysoko na liście. Paleta bogata jest w łagodne róże, idealne dla przykładu do grzywy Fluttershy, czy też jaśniutkie żółcie do jej sierści. Możliwość jest sporo, największy zestaw posiada bowiem aż 120 kolorów, więc jest w czym wybierać. Ten mój jest ciut mniejszy, bo ma "tylko" 72 kredki, ale i tak nie narzekam na ich brak. Z moich informacji wynika, że jest to najstarsza seria produkowana przez Derwent; mimo tego nie odbiegają jakością od swoich następców. Paleta jest dobrze skomponowana i kolory ładnie się ze sobą komponują, tworząc harmonijne, spokojne prace. Fakt ten może nie przypaść do gustu fanom mocnych wrażeń i silnych kolorów uderzających z kartki.



**Mały słowniczek, przypomnienie:**  
*Barwy pastelowe jasne, łagodne, spokojne, zdecydowanie nie są krzykliwe, jaskrawe ani intensywne. Często zawierają dużą domieszkę bieli.*

### Znowu trochę matematyki

Pokrótce, Derwent Artist są sprzedawane w zestawach po 12, 24, 36, 72 i wspomniane wcze-

śniej 120 kolorów. Każdy z nich zapakowany jest w sztywne, metalowe opakowanie z klapą na zawiasy. Wykonanie jest dosyć solidne i jeszcze nic mi się z nim nie stało przez dwa lata użytkowania i przewożenia przez całą Polskę w walizce. Wewnątrz, kredki ułożone są na plastikowych tackach z wgłębieniami po bokach dla ułatwienia wyjmowania. Jest to całkiem wygodne rozwiązanie, którego zdecydowanie brakowało mi w zestawie od KOH-I-NOOR. Z moich poszukiwań wynika, że niektóre zestawy są również dostępne w wersji ekskluzywnej w całkiem ładnej drewnianej walizce. Można je dostać też na sztuki od ok. 4,50 zł. Wiem, nie jest to mała suma, ale jeśli chcemy tylko uzupełnić swoje kolekcje o wybrane pastelowe akcenty, to jest to wybór dobrej jakości produktu.



### Fortuna kredką się toczy

Są to estetycznie wykonane kredki o okrągłym, lakierowanym, zielonym trzonku. Jego średnica to ok. 8 mm. Kolor grafitu widnieje na jej obłej końcówce, co ułatwia znalezienie odpowiedniej sztuki w danym momencie. Barwy te są dość dobrze dobrane i przeważnie odpowiadają pigmentowi, który zostawia na kartce. W moim zestawie jedynie Flesh Pink jest nieco jaśniejszy od podanej przez producenta próbki. Derwent Artist ze względu na kształt dobrze trzyma się w dłoni, choć z drugiej strony z tego samego powodu łatwo turlają się po biurku. Jeśli nie chcecie często podnosić ich z podłogi, trzymajcie je w czymś podczas użytkowania. Na koniec coś, co mnie absolutnie urzekło! Mianowicie każda sztuka prócz złotego miana serii, firmy i numeru odcienia na trzonku ma również jego nazwę w języku angielskim. Nie wiem jak Wam, ale mnie dużo przyjemniej używa się kredki w odcieniu butelkowej zieleni niż koloru numer 4300.

## Magiczny proces kolorowania



Jak sugeruje na opakowaniu sam producent, te kredki idealnie nadają się do nakładania wielu warstw i blendowania między sobą. Dobrze łączą się też z innymi seriami czy firmami, ze względu na swoją woskową teksturę. Również dzięki temu śmiało można używać ich jako napigmentowany blender, tworząc ciekawe i gładkie przejścia tonalne. Z drugiej strony lepiej nakładać je na podstawę z innej kredki, ponieważ po wygładzeniu te inne mogą mieć problem z pozostawieniem pigmentu na lśniącej, woskowej warstwie. Jak to się mówi coś za coś. Twardość grafitu jest raczej średnia. Z tego powodu nie zawsze dobrze trzymają szpic, choć sam grafit nie jest łamliwy (tak, wiele razy spadały mi z biurka). Da się nimi rysować szczegóły, ale to nieco bardziej eksploatuje kredkę. Z moich obserwacji wynika, że Derwent Artist przeważnie nie pyłą,

więc nie trzeba przy nich aż tak uważać, by nie zamazać sobie gotowej pracy. Jeśli nie naciska się ich zbyt mocno do kartki, to nawet ładnie się ścierają, pozostawiając tylko leciutki cień po kolorze.

## Epilog

Mimo stonowanych barw, pigment tych kredek jest dobrej jakości i można nim pracować zarówno na białym, jak i szarym czy czarnym papierze. Biała kredka nie jest tu wyjątkiem, choć wypada słabo w porównaniu do egzemplarza z innej serii tej firmy, a mianowicie DERWENT Drawing, które mają miękkie rdzeń. W jej pigmentacji zakochałam się od pierwszego wejrzenia, więc gorąco polecam. DERWENT Artist dość dobrze wypełniają pory kartki i praca z nimi jest całkiem przyjemna. Zakup tych kredek polecam raczej osobom, które interesują się rysowaniem już od dłuższego czasu. Głównie ze względu na ich cenę, choć jest to niewątpliwie całkiem dobra inwestycja na przyszłość. Jeśli ten kolorowy grafit w drewnie przypadnie Wam do gustu, producent oferuje również identyczną paletę kolorystyczną w formie bezdrzewnych bloczków, by szybciej zapełniać większe powierzchnie.



# E for glorious EQUESTRIA



Największy w Polsce serwis  
o tematyce My Little Pony

nowinki



fanarty



fanfiki



felietony



i wiele innych



<http://www.fge.com.pl/>



## Teoria smaku

**K**to doprawia pieczone ziemniaki solą i pieprzem, a następnie ich próbuje, czyni kolejny ważny krok na drodze do mistrzostwa w kuchni. Odrobina soli ożywia całą potrawę. Pierwsza szczypta pieprzu jest zaczątkiem prawdziwej sztuki. Jedna minuta dłużej w piekarniku może spowodować, że pewne ciasta staną się niejadalne. Właśnie tym jest gotowanie – małymi różnicami, które w ostatecznym rozrachunku dadzą przepyszne danie lub niejadalną breję. O sztuce gotowania można pisać wiele i tyleż napisano. Tysiące księzek, w których profesjonaliści dzielą się swoją rozległą wiedzą o tych małych różnicach. Tak wiele technik, sposobów i trików polepszających smak jedzenia, na które nie zwracamy uwagi. Jeszcze większa różnorodność mięs, owoców, warzyw i ziół. Dziś chciałbym skupić się na tych ostatnich, gdyż to właśnie one czynią potrawę wyjątkową.

» *White Hood*

Doprawić – właśnie w tym słowie zawarte są zarówno przyprawy, jak i jedna bardzo istotna rzecz. Służą one do tego, by pogłębić smak składników, a nie go zdominować. Jeżeli ragù doprawiamy czosnkiem, chcemy, by dodał on do potrawy swoją wyjątkową nutę, a nie żeby kwaskowatość pomidorów zniknęła, słodycz marchewki zmieniła się w gorycz, a cebula przestała mieć znaczenie. Koegzystencja wszystkich aromatów, współpracujących dla nadania naszej potrawie miana znamienitości – oto cel, do którego dążymy.

Jednak należy zadać sobie pytanie: co do czego? Nie doprawimy przecież karkówki cynamonem, prawda? Oczywiście, możemy go dodać. Czemu by nie zmieszać cynamonu z imbirem, czosnkiem i pieprzem cayenne, nie dodać odrobiny soli, soku z limonki i nieco miodu? Hej, to już jest pomysł na ciekawą marynatę. Pamiętajcie: łączenie skrajności. Słony ze słodkim, kwaśny z ostrym i tak dalej; nie bójcie się eksperymentować. Wróćmy jednak do podstaw.

Przyprawy w całości czy mielone? Jest to bardzo zależne od ich intensywności, od olejków eterycznych w nich zawartych. Nad tym zagadnieniem nie ma się co rozpisywać. Istotniejszą kwestią jest to, czy dodać je do dania w postaci surowej czy prażonej. Prażenie nie tylko nasila uwalnianie się odorantu, czyniąc przyprawę aromatyczniejszą, ale również zmienia jej smak. Nie polecam używać przypraw uzyskanych tym sposobem do ciast i ryb, gdyż zdominowałyby całe danie.

Innym ważnym pytaniem jest: świeże czy suszone? Może nie widać tego od razu, ale ma to duże znaczenie. Oczywiście, jeżeli jesteśmy typowym Januszem, bez znaczenia dla naszego podniebienia będzie, w jakiej postaci była przyprawa, której użyliśmy. Jednak nam zależy na tym, by nasze gotowanie było smaczne, a każdy krok i każda najmniejsza zmiana przybliżały nas do perfekcji. Jak wygląda to w praktyce? Przyprawa suszona jest zwykle intensywniejsza, zaś świeża, paradoksalnie, bardziej aromatyczna i harmonijna. Jednak

w niektórych przypadkach jest odwrotnie. Weźmy pod lupę czosnek. Och, czymże byłby gulasz bez odrobiny tej cudownej rośliny! Ragù bez niego praktycznie nie istnieje; tak samo sosy, zupy, mięsa, weki. Krótko mówiąc: czyni cuda... Kiedy bowiem zostawimy go w łupinie, nabierze on wspaniałej, kremowej struktury przy pieczeniu. Kilka jego ząbków, trochę rozmarynu, soli, do tego rzecz jasna woda – i już mamy wspaniałą wywar, w którym możemy ugotować kartofle. Do czego natomiast nadaje się świeży? Do sosów, nacierania mięs, marynat. Choćby taki dip. Trochę jogurtu, majonezu, odrobina jakiegoś twardego sera (jak choćby Grana Padano), kropelka oliwy, trochę oregano lub mięty, sok z limonki i nasz biały przyjaciel. Wszystko blendujemy i gotowe. Rzecz jasna, dozujmy go z umiarem. Z czasem przybiera on na sile. To znaczy, że sos będzie bardziej intensywny dnia następnego. Świeży czosnek możemy zastąpić pieczonym. Nada on innego, łagodniejszego smaku.

Do czego więc użyć czosnku suszonego? Osobiście nacieram nim mięsa, które wrzucam na bardzo wysoką temperaturę. Nie doda on goryczki, jak jego świeży odpowiednik. Oczywiście może posłużyć także jako baza do różnego rodzaju mieszanek przypraw.

Cóż, teraz przydałby się jakiś przepis, w którym moglibyście zastosować w praktyce nabytą wiedzę. Coś prostego i smacznego. Myślę, że gratin będzie dobre. Oczywiście, przepis jest formą podstawową, którą można wzbogacić o różne inne warzywa i zioła.

- 1 kg ziemniaków (najlepiej do tego nada się typ A)
- 250 ml śmietanki 30%
- 1 ząbek czosnku
- 1/2 łyżeczki masła
- 125 g tartego sera (cheddar, manchego, gruyère lub inny dobrej jakości)
- trochę bułki tartej
- gałka muskatołowa

1. Piekarnik nagrzać do 200°C (grzanie góra-dół, bez termoobiegu), a w tym czasie przygotować półprodukty. Żaroodporną formę o wymiarach około 12 x 22 cm natrzeć ząbkami czosnku, a następnie wysmarować masłem i posypać bułką tartą.
2. Ziemniaki obrać, opłukać i pokroić na cieniutkie plasterki o grubości ok. 1-2 mm. Należy je opłukać, gdy są już pozbawione skórki, lecz nadal w całości. Zawarta w nich skrobia zagęści całą potrawę. Oprócz ziemniaków mogą być to inne warzywa, jak pomidory czy oberżyna. Chodzi o to, by łączna waga wszystkich warzyw wynosiła 1 kg.
3. Ułożyć pierwszą warstwę ziemniaków na dnie formy, tak aby plasterki zachodziły na siebie na około 1 cm. Odrobinę posolić, posypać gałką i dodać ulubione przyprawy. Następnie układać kolejne warstwy, za każdym razem soląc, aż do zużycia reszty ziemniaków.
4. Ułożone plasterki ziemniaków zalać śmietanką, a naczynie przykryć pokrywką lub (szczelnie) folią aluminiową. Wstawić do piekarnika i piec przez 60 minut.
5. Ostrożnie zdjąć pokrywkę lub folię (uwaga, z naczynia wydostanie się gorąca para!), zapiekankę posypać serem i zapiekać bez przykrycia przez 15 minut.

Pamiętajcie jednak: ten przepis to tylko podstawa. Nie bójcie się eksperymentować, bo właśnie w tym zawiera się istota kuchni.







# Dzieci-kraby i podziemne łono

Czyli Pan Lodowego Ogrodu

**Z**azwyczaj staram się pisać recenzje w miarę bezspoilerowe, ale tym razem postanowiłam zrobić wyjątek, ponieważ na „Panu Lodowego Ogrodu” autorstwa Jarosława Grzędowicza bardzo się zawiodłam. Słyszałam różne opinie o tej książce, za to w Internecie spotkałam się niemal wyłącznie z odzewem pozytywnym. Tymczasem mamy do czynienia z nieco lepszą siostrą tragicznej „Achai” Ziemiańskiego. Jeśli zamierzacie sami wyrobić sobie zdanie o tej powieści, to proponuję, byście nie czytali tego artykułu albo wrócili do niego po lekturze PLO.

» *Cahan*

Pragnę zaznaczyć, że przeczytałam tylko tom I, więc jedynie jego treść będzie podlegać mojej ocenie. Słyszałam, że dalej jest gorzej, więc może pewnego dnia sięgnę po całość, by zaspokoić mój literacki masochizm. Bo powiem tak – było grubo. Nie jest to może najgorsza książka, z jaką miałam styczność, ale na pewno nie określiłabym jej mianem dobrej. Miała niezłe momenty, ale w sumie niewiele.

„Pan Lodowego Ogrodu” opowiada o tym, że Vuko Drakkainen, człowiek wspomagany przy pomocy nowoczesnej technologii, trafia na planetę Midgard, gdzie musi odszukać zaginionych ziemskich naukowców. Jest przy tym ucharakteryzowany na tubylca, więc nie może nawet nosić bielizny, bo Midgard to takie pseudośredniowiecze. Jedno-

ześnie korzysta z łuku bloczkowego oraz walczy przy pomocy katany. No i przywiózł z Ziemi siodło dla konia, którego musi sobie zdobyć. To naprawdę nie ma sensu – po pierwsze, siodło jest zbyt nieporęczne, by je nosić, po drugie, kiedy kupujesz konia, to często ze sprzętem. No i nie było gwarancji, że siodło będzie pasowało.

Następnie Vuko znajduje część ekspedycji w stanie, który można określić jako „dostali jakimiś dziwnymi czarami”. Potem bohater walczy z potworem, który jest superszybki i potężny, ale nasz heros pokonuje go dzięki cyfralowi – biotechnologicznemu wspomagaczowi, który wszczepiono w jego mózg. Od jednego z miejscowych dowiaduje się, gdzie znajduje się najbliższa wiocha.

Po dotarciu do najbliższej wiochy dowiadujemy się, że mieszkają tam wcale-nie-wikingowie. Główny bohater zdaje test, polegający na picciu piwa zprawionego miesięczną krwią, udając, że jej nie wyczuwa. Generalnie Vuko to taki Geralt 2.0, tylko cyfral zastępuje mu mutacje. Dobra, jesteśmy na uczcie i dowiadujemy się, że miejscowa kuchnia jest ohydna – mięso jest szare, żylaste i kiepsko doprawione, a warzone piwo to paskudztwo, nie to, co Tyskie... Nie mam nic przeciwko temu, że Drakkainenowi to nie smakuje – ale jemu nie smakuje nic w całej książce. Wszystko jest paskudne. Miejscowi totalnie nie potrafią gotować. I tu wcale nie chodzi o to, że to dziwna kuchnia. Po prostu składniki są syfiaste i kiepskie. A pan Wcale Nie Gerwant chce pizzy i koncerniaka.

Po imprezie dochodzi do zamachu na życie Vuko, za którym stoi miejscowa królowa. Królowa chatek z kupy i dziesięciu kóz. Kiedy Drakkainen ją przyłapuje, to ta chce, żeby ten uprawiał z nią seks, bo na pewno da jej silne dzieci. Dowiadujemy się też, że jeden z członków ekspedycji również miał taką okazję i z niej skorzystał. I od tej pory nasza władczyni regularnie rodzi potwory, a ten, którego Vuko zabił, był jej synem. Król, oczywiście, o niczym nie wiedział. Gdybym miała żonę, która ciągle jest w ciąży i rodzi jakieś monstra, to raczej bym o tym wiedziała i próbowała coś z tym zrobić. Miejscowy watażka musi być kretynem.

Kolejna sprawa – pomimo swoich doświadczeń Vuko nie wierzy w magię. Spotkał kolesia zamienionego w drzewo i innego, który stał się czymś w rodzaju posągu, walczył z potworami, widział

mgły (w tym świecie pojawiają się magiczne mgły, a z nimi przyłazi Zło), ale dalej sądzi, że to masowe halucynacje, a miejscowi to zabobonni debile. Nawet kiedy mgły przyłaziły pod wieś i walczył z bardzo dziwnymi istotami, które zabijały skutecznie, ale całkiem wyrafinowanie, to dalej nie wierzył w magię. Nie i już. Bo on jest najmądrzejszy.

W końcu Geralt z planety Midgaard opuszcza wiochę i wyrusza dalej, do innej wiochy. Po drodze zdobywa konia (stworzenie, na którym można wozić zad) i oswaja je dzięki wiedzy, której nauczył go Indianin. Po czym wszczepia mu do nosa jakiś odpowiednik swojego cyfrala. Od tej pory chabeta gada i jest wierna jak zwierzęcy sidekick księżniczki Disneya. Pojawienie się tego zwierzaka to ciekawa sprawa, ponieważ stało się to w wyniku magicznego wybuchu. Nawet tego nie skomentuję.



Zanim trafi do wielkiego miasta wikingów (kolejna wiocha z chatkami z kupy), to ponownie spotyka handlarza artefaktami, z czego tak właściwie nic ciekawego nie wynika. Za to odwiedza jakieś nawiedzone ruiny, a wszystko przez kruka, który ukradł mu nasienie cyfrala czy coś takiego. Swoją drogą – kruk dołącza do drużyny naszej księżniczki i będzie ją chronił przed niebezpieczeństwami. Może w przyszłych tomach się to jakoś wyjaśni, ale póki co, nie znalazłam w tym żadnego sensu.

No i dotarliśmy do wielkiego miasta na wybrzeżu, które jeśli wierzyć opisowi Vuko, jest niewielką wsią. Mimo wszystko można tam kupić piękne niewolnice seksualne sprowadzane z całego świata. Takie ekskluzywne. W ogóle można tam kupić wszystko. Poza bułkami i butami – a tak przynajmniej stwierdza Vuko, mówiąc, że to kultura rolnicza, gdzie każdy sam piecze chleb i szyje ciuchy. Co najwyżej gwoździe sprzedają. No i miecze oraz ładne laski, tego to mają dostatek.

Wracając do niewolnic seksualnych – Vuko szuka wśród nich naukowcy z Ziemi. W pewnym momencie zastanawia się nad kupnem jednej

z dziewczyn w celach wiadomych i usprawiedliwia, że to byłby dla niej dobry los, bo kiedyś by ją uwolnił. No, wiadomo, że bycie gwałconą przez oświeconego Vuko to wspaniały los. W końcu rezygnuje z zakupu. Powód? Panna była za młoda. Gwałty to tylko na pełnoletnich.

Ja rozumiem, że nie każdy główny bohater musi być praworządnym dobrym, ale Vuko chyba nie miał być taką odrażającą postacią. Niestety, ale wygląda mi to na efekt niezamierzony. Gwałty i molestowanie to czyny obrzydliwe, których nie powinno się usprawiedliwiać nawet w literaturze. Dalej nie rozumiecie? No, to wyobraźcie sobie protagonistę-pedofila, bo to zbliżony poziom zła.

Tymczasem, czytając o Drakkainenie, mam przed oczami gimnazjalnego miłośnika jednej z partii politycznych, który wypisuje głupie komentarze na Kwejku. Podobnie jak nasze kuce, Vuko narzeka na ziemskich polityków, ponieważ ci próbują kontrolować życie obywateli i ograniczają ich możliwości, co objawia się m.in. tym, że istnieją normy odnośnie jakości jedzenia i że państwo utrudnia ludziom robienie sobie krzywdy. Ogółem cywilizacja to zło, bo odbiera wolność takim mustangom z Dzikiej Doliny jak Vuko. Mimo wszystko nasz mały kucyk ciągle na brak osiągnięć tejże cywilizacji narzeka, pokazując, że jest w dodatku hipokrytą.

Przyznaję, że to jedna z tych postaci, które miałam ochotę zamordować. Może i zdarza mi się to całkiem często, ale to nie jest kwestia tego, że bohater jest nudny czy głupi (choć głupi to on akurat jest), po prostu to koleś, który miał być silny, wielowymiarowy, ale pozytywny, a wyszedł hipokrytą i potencjalny gwałcielem, który wszystko wie najlepiej. No i niestety, ale dzięki mutac... cyfralowi, nasz Geralt może pozbywać się pewnych uczuć, świetnie walczy, nie musi się uczyć języków obcych i ma w języku laboratorium chemiczne. Do tego widzi w ciemności, sam się znieczula i leczy.

Vuko posiada korzenie polskie (a jakże!), chorwackie i fińskie. W każdym z tych krajów posiada dom. „Vuko”, to po chorwacku wilk, więc nie zdziwiłabym się, gdyby to naprawdę miał być Geralt 2.0. Tylko cóż, Geralt miał klasę i naprawdę dobre serce, a Drakkainen może i miewa ludzkie odruchy, ale przez większość czasu jest obrzydliwy i w dodatku niezbyt rozgarnięty w swoim poczuciu wyższości nad tubylcami.

Tubylcy to też ciekawa sprawa. Jeżdżą na wiking, wyglądają tak, jak Grzędowicz wyobrażał sobie wikingów, i mają wikińskie imiona. Każdy posiada też jakiś bezsensowny przydomek, który wygląda na wypluty z generatora kucykowych imion. W sumie brzmi to jak imiona indiańskie, tylko nie ma żadnego uzasadnienia. I tak mamy: Grule Słomianego Psa, Jakiegoś tam Twardego Krzemienia oraz innych Karmiących Ryby i Księżycze na Twarzy.

A co się dzieje dalej? Cóż, Vuko zostaje zaatakowany przez Ludzi Węże, którzy są źli i edgy i nikt ich nie lubi. Dowiadujemy się też, jakiego ma wspaniałego konia. Po paru przygodach Wilczek i jego miejscowi znajomi płyną w stronę kraju Węży. Okazuje się, że ktoś kradnie wikingom dzieciaki. Vuko rusza na odsiecz i dowiaduje się, że wrogie plemię ma sojusz z siłami mgły i przerabia porwane dzieci na maszyny bojowe zwane krabami, które są nienaturalnie szybkie i morderczo skuteczne. Pamiętajcie, jeśli weźmiecie dzieciaka, wsadzicie w blachy i rozpuścicie tkanki miękkie, to powstanie krab, który chyba zachowa jakieś resztki wspomnień i inteligencji smarkacza.

Na końcu książki nasz wielki heros zostaje drzewem. Okazało się, że to jeden z naukowców został magiem i zaczął odtwarzać obrazy swojego ulubionego malarza. A przy tym zniewolił Węże i produkował kraby. Dlaczego? Bo mógł. Nie wiem, może później okaże się coś więcej. Jednak końcówka była zdrowo poryta. Przy tym pan naukowiec posługiwał się mową godną działacza partyjnego z partii komunistycznej i chyba na takim działaczu był wzorowany.

Prócz wątku Vuko mamy też drugi równoległy wątek, młodego księcia wcale-nie-Chińczyka, którego wam nie streszczę tak dokładnie, jak przygód Geralta-komandosa. Powiem, że przygody Terkeja Tandzura-ka czytało się dużo lepiej, choć były tam również najgorsze i najbardziej popierniczone fragmenty w całej książce. Niestety, ale i tutaj logika trzymała się na ślinę i taśmę. W sumie to jest największa bolączka „Pana Lodowego Ogrodu” – wiele rzeczy w tej historii nie ma najmniejszego sensu.

Terkej to młody książę (tohimon), następca Tygrysiego Tronu. Jest Kirneńczykiem. Jego ojciec-cesarz też nim jest. A mimo wszystko cesarstwo jest amitrajskie, czyli w praktyce mongolskie. Przyznaję, że sama się w tym zgubiłam i podejrzewam, że autor też. Amitrajowie, którzy podbili Kirnen, ale to i tak Kirneńczyk jest cesarzem?

Ogółem dowiadujemy się, jak przebiegało dzieciństwo Terkeja i to miało mało sensu. Podejrzewam, że chodziło o to, by pokazać, że nasi Chińczycy starali się stworzyć zahartowanego księcia idealnego, ale ten chłopak jadł jakieś głodowe racje. I mył się w zimnej wodzie, za to wiadro było ze srebra i szylkretu. Jakby nie mogli się zdecydować, czy chcą wprowadzić luksusy czy surowe warunki.

Muszę pochwalić „Pana Lodowego Ogrodu” za fragment, w którym trzej bracia dostali po wyspie oraz po stadzie bystretek, czyli takich magicznych, inteligentnych surykatek i bawili się w symulator państwa. To było takie całkiem przyjemne i lekkie, przypominało różne bajki i inne opowieści z morałem. Nie do końca pasowało do samej książki i to chyba dlatego tę część oceniam najlepiej.

Niestety, ale wszystko, co dobre, kiedyś się kończy i w końcu doszłam do seksów. Seksów Terkeja i jego nauczycielki. To nie były najlepsze znane mi opisy stosunków, ale daleko im było do najgorszych. Wyróżnia je dodany do nich pseudo-inteligentny bełkot. Z PLO można dowiedzieć się, że: bab nie można kochać, nie można im pozwolić się zdominować, w łóżku dominuje i wygrywa ta strona, która sprawi, że druga osoba znajdzie się w jej władzy za sprawą doskonałego orgazmu. To był długi fragment.

Później mamy problemy, ponieważ w kraju źle się dzieje, a oprócz tego muszą borykać się z kapłanką bardzo złej religii, która ma coraz większe poparcie wśród ludu, ponieważ ich karmi, uzdrawia, a opornych ewaporuje. Jest to oczywiście jedna z zaginionych naukowiec, ani chybi zła feministka. Generalnie – chyba już domyśliliście się, kto wchodzi w skład wielkiego kwartetu wrogów tego świata.

Nahel Ifrija, bo pod takim imieniem występuje nasza „kapłanka”, wyznaje wiarę w Podziemną Matkę. I jest to chyba najdziwniejszy o kult, o którym słyszałam. Wyobraźcie sobie religię, w której wszystkie dobra oddajecie kapłanom, radość i przyjemności są bardzo niemile widziane, kobiety żyją w czystości w specjalnych domach, a mężczyźni się kastruje. Do tego wyznawcy lubią malować na ścianach waginalny symbol. No i obchodzą święto podziemnego łona. Podziemna Matka jest nazywana również Panią Żniw, Boginią Urodzaju, Żywicielką i Matką.

Zastanawiam się, czy Grzędowicz nie próbował pojechać po feministkach i wiccankach, bo chyba stąd czerpał swoje inspiracje. Cóż, nie wiem, co ten pan zamierzał, ale nie wyszło. Bo w książce te pomysły wyglądają jeszcze gorzej niż w tej streszczenio-recenzji. Ogółem odnoszę wrażenie, że powieść jest mocno przesiąknięta poglądami autora, co w połączeniu z kiepskim wykonaniem daje miejscami efekt wręcz komiczny.

Pragnę też zwrócić uwagę na kreację postaci kobiecych, które nie istnieją albo służą za sekszabawki. Ewentualnie są tymi złymi. Wszystkie pozytywne bohaterki były niesamowicie piękne i służyły Terkejowi do zaspokajania popędu. W sumie większość dziewczyn w PLO miała takie właśnie przeznaczenie. Nawet królowa czterech kóz i pięciu kur zamierzała się oddać Vuko. Niewolnice na targu? Przeznaczenie łóżkowe. Terkej uczy się sztuki ruchów posuwisto-zwrotnych? Stada pięknych kobiet! Scena walki? Aiina, nauczycielka Terkeja (seksu też) nago odpiera stada napastników. Podczas tej wyczerpującej potyczki oblizuje szablę z krwi. Ktoś tu miał fantazje. Jakie, to dopowiedzcie sobie sami.

Co jeszcze zgrzytało? Narracja, która się zmienia. Ponoć to miał być efekt celowy, jednak osobiście uznałabym to za błąd. Nie przeszkadza jakoś szczególnie i możliwe, że większość z Was nawet tego nie zauważy. Sam tekst jest napisany całkiem niezle, choć uważam, że Grzędowicz pisze dużo gorzej niż jego żona. Jednak spotykałam się i z odmiennymi głosami. Cóż, to kwestia gustu.

Jeśli chodzi o zalety, to wbrew pozorom, trochę by się tego znalazło. Sama idea uroczysk i pochodzącej z nich magii, dziwnych mgieł oraz mechaniki czarów jest naprawdę ciekawa. Podobnie jak osadzenie akcji na innej planecie. Również to, że ekipa badawcza zmieniała się w złodupców, to pomysł dobry. Niestety, ale wykonanie jest kiepskie. Myślę, że jakby poprawić wiele fragmentów, zmienić to i owo oraz załatać dziury fabularne, to mogłaby to być całkiem dobra książka.

Niestety, ale nie mogę polecić „Pana Lodowego Ogrodu”. Jednak nie zamierzam nikomu zabraniać lubienia tej książki. Miało być mocne science fantasy, a wyszedł Geralt-kuc z Kwejka w świecie wikingo-indian. Jednak sądzę, że jeśli ktoś szuka czegoś, co się czyta szybko i dobrze odmóżdza, to PLO może się sprawdzić. W końcu nie wszystkie książki, które przyjemnie się czyta, są wybitne.

# Oskar The Blind Cat



## The Purring Quest – recenzja

**G**ry komputerowe są projektowane z myślą o najróżniejszych grupach odbiorców, ale do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, że istnieją takie, które zostały stworzone dla miłośników kotów. Jedną z nich jest „The Purring Quest”. Gra jest pełna nawiązań, kociego humoru, a nawet rad dotyczących pielęgnacji tych miłych stworzeń. Do tego w trakcie rozgrywki spotkamy kilka kocich sław z Youtube.

» *Falconek*

Protagonistą jest Kimchi, biało-rudy sierściuch, który zgubił swojego właściciela podczas spaceru po cmentarzu. Dlaczego akurat cmentarzu? Tego dowiadujemy się z intro, które przedstawia całkiem uroczą historię pewnej rodziny i jej kota.

Sama zaś gra jest klasyczną platformówką, w której skaczymy z półki na półkę, pokonujemy mniejsze lub większe potwory i walczymy z bossami. W mechanice rozgrywki nie ma żadnych innowacyjnych elementów, może poza możliwością skradania się i ukrywania za elementami otoczenia (gracz będzie ją wykorzystywał, aby uniknąć spotkania z psami, które wszystkie żywią nienawiść do naszego futrzaka i nie da się z nimi walczyć). Tak naprawdę głównym urozmaiceniem jest postać Kimchiego, która jest doskonale animowana (przychodzi mi na myśl pierwszy Prince of Persia, ten z czasów DOSa) i, no cóż, zachowuje się jak kot. Kiedy gracz przez dłuższą chwilę nie wykonuje żadnych akcji, Kimchi zacznie lizać sobie łapy, przeciwników ata-

kuje pazurami, a również skacze, chodzi i biega z typowo kocią gracją.

„The Purring Quest” składa się z kilku etapów rozgrywających się w różnych miejscach miasta, takich jak cmentarz, dzielnica chińska czy przedmieścia, a naszym celem jest oczywiście odnalezienia właściciela Kimchiego. Poziomy są urozmaicone pod względem graficznym, dość przyjemne dla oka i nie pozwalają się nudzić.

Nie jest to specjalnie trudna gra i tak naprawdę główne problemy, na jakie trafi gracz, będą wynikać z tego, że miejscami trudno jest domyślić się, co należy zrobić, zwłaszcza, gdy do rozgrywki wprowadzane są nowe elementy, oraz z nieprecyzyjnego sterowania.

Tej ostatniej kwestii muszę poświęcić nieco uwagi. Platformówki są gatunkiem, w którym dokładna kontrola odgrywa ważną rolę, a tutaj tej dokładności brakuje. Postać czasami potrafi wykonać skok z opóźnieniem, zasięg ataku jest trudny do określenia, również moment przejścia między chodem a biegiem jest nieco zmienny. Zdarzały się niestety momenty, w których musiałem wczytywać grę od nowa, nie będąc przekonanym, że było to z mojej winy.

Podsumowując, Purring Quest jest małą i całkiem przyjemną grą, która wprost promieniuje miłością do kotów. W dodatku część zysków ze sprzedaży gry przeznaczana jest na wsparcie organizacji pomagających zwierzętom.



## BOLO! – Recenzja

**K**siążka Dawida Webera na pierwszy rzut oka może nie zachęcać. W końcu jak tu nie mieć mieszanych uczuć względem militarnego s-f, opowiadającego o zmaganiach ważących tysiące ton inteligentnych czołgów, mających bronić ludzi przed Obcymi? Tak opis brzmi raczej jak zapowiedź pulpy do czytania w pociągu niż poważnej literatury. Wrażenie to potęguje okładka polskiego wydania, której grafika nasuwa raczej skojarzenia z okładką komiksu o Transformerach.

» *Falconek*

Jednak pozory mogą mylić i tak też jest w przypadku „Bolo!”. Od strony fabularnej jest to zbiór pięciu opowiadań, które byłyby dość typowymi historiami wojennymi, gdyby nie udział tych niesamowitych czołgów.

Chociaż każde z tych opowiadań opisuje inny psychologiczny aspekt wojny – jak poświęcenie, wierność, zdrada czy poczucie obowiązku – to łączy je jeden wspólny motyw: ukazanie zimnej logiki wojny, którą kieruje wyłącznie swoisty rachunek ekonomiczny. Życie jednostki ma wartość tylko dopóki jest potrzebne do zwycięstwa, a poświęcenie go jest rzeczą niepodlegającą dyskusji, jeśli tylko korzyści przewyższą straty. Ta kalkulacja zysków i strat jest uwydatniona przez charakter sztucznej inteligencji, która kalkulując z góry wyniki swoich działań z dokładnością do piątego miejsca, nie pozostawia pola na typowo ludzkie nadzieje i złu-

dzenia, dające pretekst do ratowania towarzyszy za wszelką cenę czy podejmowania beznadziejnych akcji tylko dlatego, że są one „właściwe”. Przewidywalność wyników, charakterystyczna dla bitew z udziałem Bolo!, nie pozostawia nawet nadziei na własne ocalenie, albowiem cybernetyczny mózg czołgu wie nie tylko, że przyjdzie mu polegnąć w bitwie, ale nawet to, jak długo przetrwa. Taki stan rzeczy stawia w nowym świetle kwestie bohaterstwa i obowiązku na polu bitwy. Okazuje się, że „wojna nigdy się nie zmienia” i nawet jeśli jesteś tysiactonową machiną wojenną, zdolną niszczyć floty inwazyjne, to wciąż jesteś tylko mięsem armatnim, które zostanie poświęcone, jeśli będzie tego wymagała sytuacja taktyczna. I nawet jeśli twoja indywidualna historia stanie się materiałem na pełne patosu opowiadanko wojenne, to zawsze byłaś całkowicie zastępowalna i w gruncie rzeczy nigdy nie miałaś wyboru. A czy można mówić o bohaterstwie, jeśli czyny nie zależą od indywidualnych decyzji, tylko od prostej logiki? Czy to po prostu obowiązek?

Od strony literackiej książka trzyma wysoki poziom. Historie, chociaż przewidywalne, nie nużą. Opisy bitew usatysfakcjonują fanów militarnej s-f. Są odpowiednio wypełnione technicznymi szczegółami, choć same czołgi Bolo, zwyczajnie zbyt duże i potężne, nie ułatwiają zawieszenia niewiary. Nie przeszkadza to jednak w czytaniu, jeśli przyjmie się, że taka jest estetyka tego uniwersum.

THE END OF  
THE F\*\*\*ING  
WORLD



## Recenzja serialu „The end of the f\*\*\*ing world”

**P**od koniec października zeszłego roku miała miejsce premiera brytyjskiego serialu „The end of the f\*\*\*ing world”. Jednak o tej produkcji zrobiło się dość głośno dopiero całkiem niedawno, za sprawą premiery na platformie Netflix. Zachęcona wieloma pozytywnymi opiniami znajomych, postanowiłam obejrzeć i przekonać się czy ten serial faktycznie jest taki dobry.

» *Gray Picture*

O czym w ogóle jest „The end of the f\*\*\*ing world”? Głównymi bohaterami jest dwoje nastolatków, James i Alyssa. Oboje mocno odstają od swoich rówieśników. James podejrzewa, że jest psychopata. Żeby się ostatecznie o tym przekonać, postanawia zabić człowieka. Na przyszłą ofiarę wybiera właśnie Alyssę. Dziewczyna chodzi z nim do szkoły i cechuje się... w innych krańcach Internetu nazywają to ciętym językiem, ale szczerze mówiąc nazwałbym to zwyczajnym chamstwem. Aby spełnić swój plan James udaje, że zakochał się w Alyssie. Po jakimś czasie, za namową nastolatki, oboje uciekają z domu. Na tym dość absurdalnym pomysle opiera się fabuła „The end of the f\*\*\*ing world”.

Jak mam być szczerą, to na początku do tego serialu zniechęciły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, długość odcinków. Każdy trwa około 25 minut i jest ich tylko 8, a nie bardzo wierzyłam, że w ciągu tak krótkiego czasu można chociażby wystarczająco

dobrze poprowadzić fabułę. Niestety, ten moje przewidywania okazały się przynajmniej częściowo prawdziwe. Co prawda nie jest to najgorszy serial, ale akcja jest zdecydowanie za szybka. Zwłaszcza, że twórcy chcieli umieścić zdecydowanie za dużo treści w tych zaledwie trochę ponad 5 godzinach. Po obejrzeniu zwiastunu, byłam pewna, że to jeden z tych głupich, które zdradzają fabułę całego sezonu. Okazało się jednak, że tu tylko zawartość zaledwie jednego odcinka. Myślę, że gdybym odcinki trwały po na przykład 40 minut, to oglądałoby się znacznie przyjemniej.

Po drugie, z początku „The end of the f\*\*\*ing world” jest nieznośnie wręcz infantylny. Ile można słuchać jak Alyssa udaje dojrzałą, bez przerwy klnąc? Naprawdę mam dużą tolerancję na tego typu zachowania postaci, ale są jakieś granice. Na szczęście potem ta infantylność znika i da się oglądać.

Mimo tych wyżej wymienionych wad (oraz jeszcze kilku mniejszych) „The end of the f\*\*\*ing world” jest całkiem dobrym serialem. Na pewno nie zasługuje on na miano wybitnego, ale ogląda się całkiem dobrze. Zaczyna się od średnio zabawnej komedii, a kończy się na tym, że serial z każdym odcinkiem coraz bardziej staje się dramatem, który porusza problemy młodzieży. Nawet nieźle to wyszło, a zakończenie zmusza do przemyśleń. Na całe szczęście nie jest to kolejna typowa teen drama, których nie znoszę z całego zimnego serduszka.

Gdy już lepiej poznamy Jamesa i Alyssę, dowiemy się dlaczego się tak a nie inaczej zachowują, to przestają być irytujący. Ba, można ich (zwłaszcza Jamesa) nawet polubić. Są to jednak bohaterowie dość specyficzni, więc nie każdemu przypadną do gustu, chociażby dlatego że przez większość serialu łamią prawo (i to robią coś gorszego niż przechodzenie na czerwonym świetle). Dodam jeszcze, że aktor, który wciela się w postać Jamesa (szybkie googlowanie podpowiada, że nazywa się Alex Lawther), gra naprawdę dobrze. Alex nie miał wiele do powiedzenia, ale doskonale to rekompensuje grą ciałem. Aż się miło patrzy na takie drobne rzeczy, jak na przykład perfekcyjnie dopasowana mimika.

Większość serialu, zapewne z racji na mocno ograniczony czas, kręci się wokół tej dwójki, jest jednak kilka postaci drugoplanowych. Rodziców Alyssy i ojca Jamesa po prostu nie da się polubić. Nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ nie są to najmilszy ludzie, a do tego historia w „The end of the f\*\*\*ing world” jest praktycznie opowiadana przez głównych bohaterów (co jakiś czas można usłyszeć ich wewnętrzne przemyślenia), a co za tym idzie, jest też bardzo subiektywna. Poza nimi są też policjantki Teri i Eunice. Ich charakterystyki są bardzo proste i schematyczne (pierwsza to zły glina, a druga to ta dobra), ale relacje między nimi są na tyle ciekawe, że żałuję, iż dostały tak mało czasu na ekranie.

Kolejną drobną zaletą „The end of the f\*\*\*ing world” jest bardzo klimatyczna muzyka w tle. Zdecydowanie niedzisiejsze kawałki z takich gatunków jak classic rock, blues, soul czy country genialnie budują klimat, czasem nawet można zapomnieć, że akcja dzieje się w czasach współczesnych.

Czy warto obejrzeć ten serial? Jak już mówiłam, z całą pewnością nie jest to arcydzieło,

ale jak przetrwa się pierwsze odcinki, to ogląda się całkiem fajnie. „The end of the f\*\*\*ing world” można spokojnie obejrzeć w jeden może dwa wieczory. Gdybym miała go ocenić skalą z Filmwebu, to dostałby 6 (niezły) lub 7 (dobry).

Już na samo zakończenie dodam, że cenzurowanie słowa „fucking” nie wynika z jakiejś mojej wewnętrznej potrzeby, bo generalnie nie widzę zbytniego sensu cenzurowania przekleństw, zwłaszcza tych pisanych. Nazwa tego serialu naprawdę zawiera te trzy nieszczęsne gwiazdeczki. Niestychanie mnie bawi, że postaci mogą klnąć do woli, ale już nie można użyć nieocenzurowanego przekleństwa w tytule.







## Made in Abyss – Recenzja

**R**zadko kiedy można natrafić na dzieło, którego estetyka tak mocno różni się od historii, której przekazywanie ma wspierać. „Made in Abyss” - anime z 2017 roku - wygląda jak radosna, pełna śmiechu i zabawy bajka o grupce wesołych dzieci przeżywających niezwykle przygody. I przez to potrafi złapać z zaskoczenia widza za gardło i trzymać go w tej niewygodnej pozycji, aż do ostatniej minuty. Mimo to, ogląda się ją z najwyższą – choć czasem masochistyczną – przyjemnością.

» *Ghatorr*

Tytułowa Otchłań (przez duże O) to nie jest pierwsza lepsza dziura – to tajemnicza czeluść, której nikomu nie udało się do końca zbadać, kusząca każdego, kto chciałby podjąć się jej zbadania wspinałymi artefaktami. Na jej brzegu wyrosło całe miasto, poświęcone czerpaniu zysków z eksploracji, marzeniem każdego dziecka jest zejście jak najniżej, a najświetniejsi odkrywcy – mający przywilej noszenia gwizdków (które nosi każdy oficjalnie uznawany badacz Otchłani, i których kolor jest wyznacznikiem rangi) o białej barwie – są traktowani jak celebryci lub bohaterowie narodowi. Z drugiej strony jednak Otchłań kryje w sobie wiele niebezpieczeństw – od morderczych bestii, przez starożytne technologie których moc przekracza wszelkie wyobrażenia, po chyba najstraszliwsze z nich – klątwę otchłani, która dotyka każdego z badaczy w trakcie jego powrotu na powierzchnię, i jest tym straszliwsza tym z niższego poziomu on wraca. Czasami śmierć może

być uznana za błogosławieństwo w porównaniu do okrucieństw, jakimi ludzi obdarza Otchłań – to okrutne bóstwo, które hojnie rozdaje zarówno kary jak i nagrody.

Głównymi bohaterami „Made in Abyss” jest dwójka niezwykle dziwnych dzieci. Riko to młoda, optymistyczna i radosna dziewczynka, będąca córką jednego ze słynnych „białych gwizdków”, której obsesja na punkcie Otchłani jest wyjątkowo silna, nawet na tle innych mieszkańców miasta. Mania ta przybiera na sile, gdy w trakcie jednej z wypraw na wyższe poziomy, organizowanych przez sierociniec w którym mieszka – gdzie została umieszczona przez matkę przed kolejną, długą wyprawą – odkrywa Rega, chłopca który wyglądem przypomina dzieci w jej wieku, ale posiada liczne mechaniczne ulepszenia i nie pamięta nic o tym jak znalazł się tak blisko powierzchni. Co więcej, dość szybko okazuje się być odporny na klątwę Otchłani. Sytuacja staje się jeszcze bardziej fascynująca, gdy Riko otrzymuje nagle wiadomość od swojej matki...

Riko i Reg to nie jedyne postacie które napotykamy w serialu – choć ze względu na charakter Otchłani nie ma ich za wiele – ale to z tą dwójką spędzimy najwięcej czasu. Optymizm i (względne) doświadczenie dziewczyny kontrastują z ciągłym niezdecydowaniem chłopca-cyborga oraz jego brakiem wiedzy. Co ważne, tę dwójkę po prostu miło się ogląda – widz szybko zaczyna dbać o ich losy, przejmować się ich porażkami i cieszyć się zwycięstwami. Szczególnie pomaga w tym jedna

świadomość – że w tym świecie wszystko może się zdarzyć. Ani przez chwilę nie czuje się tu, że postacie mają jakąś nadnaturalną, boską opiekę autora, która sprawi że wyjdą cało z każdej przygody. Wręcz przeciwnie – tu za każdy sukces płaci się bólem, łzami, krwią, zdrowiem psychicznym i potem. Otchłań nie daje taryfy ulgowej, nawet dzieciom... albo raczej zwłaszcza dzieciom – szczególnie takim, z których jedno jest spokrewnione ze znaną bohaterką, a drugie jest szukającym prawdy o sobie cyborgiem. Bądź co bądź zwykłe dzieci by pewnie szybko znalazły ukojenie w śmierci (ciekawy szczegół – serial podaje, że zejście niedoświadczonego badacza na poziomy które są dla nich niedozwolone jest traktowane jako samobójstwo).

Mimo że w trakcie badania bezdennej dziury wypełnionej śmiercią i bólem ciężko o towarzystwo, to serial mimo wszystko dostarcza wiele innych ważnych, interesujących postaci. Nie ma ich zbyt wiele, dzięki czemu są łatwiejsze do zapamiętania, i każda z nich pełni ważną rolę. Na szczególną rolę zasługują „białe gwizdki” – kilkoro członków tej elitarniej grupy przewija się przez ekran, i każdy z nich jest niesamowity na swój własny sposób. Wszystko w tych postaciach – od ich wyglądu po zachowanie – przypomina, że ludzie którzy spędzili lata badając Otchłań nie są przeciętnymi jednostkami.

„Made in Abyss” jest przepięknym anime. Przyzwyczajenie się do specyficznego stylu rysowania ludzi, pasującego bardziej do jakiejś weselszej i pozbawionej takiej ilości cierpienia bajki, zajmuje trochę czasu, ale jest to jedyny element który może budzić zastrzeżenia. Krajobrazy powalają – czuć że Otchłań to obcy świat rządzący się własnymi prawami, a autorzy mogą dzięki temu popuścić wodze fantazji. Kolejne, coraz dziwniejsze poziomy Otchłani stają się okazją do podziwiania widoków. Podobnie wygląda sprawa ze zwierzętami czy tajemniczymi artefaktami.

Z obrazem doskonale współgra dźwięk. Muzyka potrafi być (mylnie) radosna lub niepokojąca, uzupełniając klimat każdej sceny. To samo dotyczy dźwięków, szczególnie tych bardziej organicznych, jak choćby odgłosy zwierząt czy niektórych, bardziej nieprzyjemnych efektów działania Otchłani.

Jak dla mnie najciekawszym elementem, przysłowiową wisienką na torcie, było jednak tworzenie świata. Czuć, że jest to miejsce które żyje – Otchłań nie jest po prostu głęboką, nieco straszną dziurą. Wokół niej toczy się życie, odbywają się spory (nawet religijne), i wszystko to jest w stanie się uzupełniać, tworząc spójną całość. Co ważne, ogromna ilość detali, w połączeniu z faktem że – niestety – zarówno anime jak i manga na podstawie której powstało są nieukończone daje duże ilości materiału w oparciu o które fani starają się domyślić prawdziwej natury Otchłani. Ot, szczegóły, od pewnego statku (jak zobaczycie to zrozumiecie o co chodzi), po „modlące się szkielety” odnajdywane na górnych poziomach – serial nie pozwala nam zapomnieć że Otchłań jest fascynująca... i groźna.

Czy jestem w stanie polecić „Made in Abyss”? Owszem – i to z całego serca. Jest to przepiękny, wciągający i angażujący serial, który potrafi zaskoczyć, przerazić, zasmucić i ucieszyć. Nie dajcie się zmylić bajkowej grafice – kryje się pod nią niepokojąca zawartość, a całość jest dość brutalna. Z drugiej jednak strony, nie jest to horror – jest to serial przygodowy, w którym twórcy ostrożnie balansują na granicy między mrokiem a światłem, nigdy jej nie przekraczając. Nie ma tu szokowania dla samego szokowania, tanich zagrywek czy nadmiarowej przemocy, a z drugiej strony nikt nie dostaje taryfy ulgowej, i nawet w weselszych chwilach czuć czające się niebezpieczeństwo.

To po prostu bardzo dobry serial. Składa się z trzyestu odcinków po dwadzieścia minut, i po zobaczeniu całości mogę stanowczo powiedzieć że nie żałuję ani chwili spędzonej z optymistyczną, wesołą Riko i z czasem zadziwiająco nieporadnym Regiem. I, oczywiście, z Otchłanią...



# Red's Pocket Ponies

*W ofercie można znaleźć:*

*Przypinki*

*Kubki*

*Koszulki*

*Nieśmietelniki*

*Figurki Funko*

*Zamówienia specjalne*



*/redspocketponies*



# Miotła i jej Trixie

**Autor: Rarity**  
**[Oneshot] [Comedy] [Slice of Life]**

– Wielka i Potężna Trixie wygra ten konkurs! Stroje innych kucyków nie mają szans przy jej wspaniałym przebraniu – oznajmiła pewna siebie magiczka.

– Jesteś pewna? Z tego, co widzę, przefarbowłaś po prostu pelerynę i kapelusz na granatowo – wyraziła swoje wątpliwości Starlight Glimmer.

– A ty założyłaś prześcieradło i wieniec pogrzebowy.

– To strój starożytnej mieszkanki Kryształowego Królestwa. I ja przynajmniej wyglądam inaczej niż zwykle.

– To jeszcze nie wszystko! Prawdziwa czarownica potrzebuje też kota i latającej miotły. Rarity odmówiła pożyczania Opal, ale Trixie zaraz zaczaruje tę miotłę i zachwyci całe Ponyville swoją magią. – Niebieska klacz nie traciła pewności siebie. – Księżniczka Twilight będzie musiała uznać wyższość Trixie, wręczając jej nagrodę za pierwsze miejsce.

– Zaczaruje? Zaraz, skąd ty właściwie wzięłaś to zaklęcie?

– Z pałacowej biblioteki, rzecz jasna. Szukałam pod „A” jak „Animalizacja” – mówiąc to, klacz wyciągnęła spod kapelusza świstek papieru i przeczytawszy jego zawartość, zaczęła skupiać swoją magię na leżącej u jej kopyt miotle, też zresztą pochodzącej z wyposażenia pałacu.

– Animalizacja? Żeby miotła latała, wystarczy przecież zaklęcie animizacyjne! Nie chcesz, żeby twój środek transportu zyskał własną wolę – ostrzegła przyjaciółkę Starlight.

Ta jednak już nie słuchała, w pełni koncentrując się na rzucanym zaklęciu. Najwyraźniej lekcje z uczennicą Twilight nie poszły na marne, ponieważ po chwili miotła zaczęła sama się unosić, przysuwając się przy tym przymilnie do swojej nowej pani.

– Ha! Pomysłowa i Utalentowana Trixie jest teraz prawdziwą czarownicą. Spójrz tylko, jak lata – powiedziała niebieska klacz, sadowiając się na miotle, która usłużnie ustawiła się na dogodnej dla niej wysokości.

– Czeka! Ta miotła może być niebezpieczna, nie wiadomo, co jej strzeli do... styliska.

– Po prostu zazdrościsz Trixie przebrania. Widzimy się na rozdaniu nagród! Trixie pomacha do ciebie ze sceny. – Magiczka pochyliła się nad miotłą, po czym wyszeptała: – Leć mała, leć do ratusza. Niech wszystkie kucyki ujrzą naszą niesamowitość.

Miotła, posłuszna poleceniu swojej pani, wzniosła się na kilka metrów i zaczęła lecieć w kierunku centrum miasteczka. Zachwycona Trixie napawała się łopotem swojej peleryny i szumem wiatru w uszach. Po chwili, ośmielona, zaczęła machać zebranych w dole kucykom, które w efekcie pokazywały ją sobie kopytkami. Bardzo z siebie zadowolona Trixie obleciała wokoło kopułę ratusza, po czym postanowiła odwiedzić swoją ulubioną księżniczkę. Dlatego też rozkazała:

– Na zamek, miotełko! Pokażemy tej Twilight Sparkle, że Trixie też zna się na czarach.

Tym razem jednak miotła miała nieco inne zdanie na temat kierunku, w którym powinny się udać. Najwyraźniej nie miała ochoty lecieć do swojego dawnego domu, nie dając się nakierować i ciągle zmieniając kierunek. Być może bała się powrotu do schowka albo chciała uniknąć ciężkiej pracy, jaką było zmiatanie ciągnących się kilometrami kryształowych korytarzy.

W efekcie tych zmagania, Trixie wraz ze swoim opornym wierzchowcem zbliżyła się do Cukrowego Kącika, a konkretnie do osadzonych na jego szczycie świeczek, których z okazji obchodzonego święta było nawet więcej niż zwykle. Z racji wiejącego wiatru, ich płomienie tańczyły w różnych kierunkach, stwarzając tym samym zagrożenie dla niedoświadczonych lotników.

– Uważaj, miotełko! – wykrzyczała ostrzeżenie Trixie, gdy różgi stanowiące zakończenie narzędzia znalazły się niebezpiecznie blisko ognia.

Zaowocowało to nagłym zwrotem kija i utratą równowagi przez dosiadającą go klacz. Na szczęście, miotła najwyraźniej polubiła jednorozca, ponieważ szybko przesunęła się i pomogła odzyskać mu stabilną pozycję. Następnie zaś skierowała się na południowy wschód, w stronę nieodległego lasu Everfree.

– Zaraz, gdzie ty lecisz?! Wracaj! Miałam olśnić tłumy w miasteczku, nie dać się pożreć hydrze. Jeszcze nie wszyscy widzieli mój strój! – wykrzykiwała Trixie, trzymając się kurczowo trzonka ciągle przyspieszającej miotły.

Ta jednak nic nie robiła sobie z protestów swojej pani, nieubłaganie zbliżając się do ściany drzew. Najwidoczniej kierowała nią nostalgia, ponieważ po minięciu granicy puszczy wyraźnie obniżyła lot i zwolniła, jakby rozkoszując się atmosferą rodzinnych stron.

Po chwili, najwyraźniej zapomniawszy o niedawnej przygodzie, zaczęła radośnie kręcić się między drzewami, po raz kolejny zmuszając swojego jeźdźcę do wzmocnienia chwytu. Mimo towarzyszącego jej niepokoju, Trixie wykorzystała tę sytuację do rozejrzenia się – nie co dzień w końcu miała okazję do podziwiania nocą owianego złą sławą lasu. Oględziny te przyniosły zaskakujące dla niej rezultaty: puszcza okazała się co prawda dość niepokojąca, ale równocześnie niezwykle piękna. Rozlegały się w niej odgłosy nocnego życia rozmaitych stworzeń, a świecący jasno księżyc odkrywał przed oczami klaczy kolejne urokliwe zakamarki lasu, takie jak wielki porośnięty mchem głaz czy na wpół przewrócone drzewo ze zwieszającymi się z niego pnączami.

Miotelce też najwyraźniej spodobał się otaczający ją krajobraz, ponieważ jeszcze bardziej obniżyła lot, utrzymując się mniej więcej na wysokości głowy przeciętnego kucyka. Cała ta niespodziewana wycieczka zaczęła sprawiać przyjemność klaczy, która nieco się rozluźniła i z większą śmiałością rozglądała się po otaczającej ją puszczy. Przyszło jej też na myśl, że być może kucyki wyolbrzymiały nieco straszne opowieści o Everfree.

– Skoro wszyscy tak bardzo boją się tego lasu, a Trixie weszła do niego sama...

Jednorozec nie zdążył dokończyć myśli, gdyż tuż za nim rozległ się głośny ryk. Zaraz po nim nastąpiło machnięcie wielką łapą, które prawie strąciło lejącą leniwie miotłę. Jedyne dzięki jej dobremu refleksowi udało się uniknąć spotkania z pazurami oraz ich właścicielką – młodą, ale już dość mocno wyrosniętą mantykorą.

– Niedobry kotek! – zabrzmiał skądś cichy, lecz stanowczy głos. – Nie wolno bawić się kucykami!

Za mantykory wyłoniła się żółta klacz, niosąca na swym grzbiecie małego, białego i wyraźnie niezadowolonego z sytuacji króliczka. Trzymał on w łapkach grubą książkę i niecierpliwie uderzał tylną łapką w grzbiet kucyka.

– Spokojnie, Angel. Nie możemy przecież pozwolić, żeby Clawie kogoś wystraszyła.

– Dzielna i Nieustraszona Trixie wcale się nie boi! – wypowiedziała nieco drżącym głosem początkująca czarownica. – Trixie pilnuje, by potwory z lasu Everfree nie pożarły dziś żadnego kucyka. W taką noc jak ta trzeba na nie szczególnie uważać.

– Jak możesz tak mówić? – stanęła w obronie swoich futrzastych przyjaciół Fluttershy. – Clawie nikogo by nie skrzywdziła, ona chciała się tylko pobawić. Bardzo lubi polować na latające przedmioty, dlatego też próbowała złapać ciebie i twoją... miotłę?

Wspomniany przedmiot lewitował tymczasem kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią, najwyraźniej z uwagą przysłuchując się rozmowie. Na pytanie pegaza zareagował, poruszając wtkami na podobieństwo merdającego ogonem psa.

– Wielka i Potężna Trixie nie ufa skrzydłom! Trixie jest wierna tradycji i woli latać na miotle. – Klacz wyprostowała się dumnie i poprawiła nieco przechylony na skutek niedawnych akrobacji kapelusz.

– Rozumiem... – odpowiedziała niepewnie jej rozmówczyni.

Siedzący na jej grzbiecie królik zaczął tymczasem ciągnąć ją za kosmyk grzywy.

– Już, Angel, już idziemy. – Klacz zwróciła się do jednoroźca: – Wybacz, ale obiecałam moim leśnym przyjaciołom, że poczytam im dzisiaj straszne historie. Nie przepadam wprawdzie za Nocą Koszmarów, ale nie mogłam odmówić ich prośbie, prawda?

Odpowiedzi na to pytanie udzielił Angel, stanowczym gestem łapki wskazując przed siebie. Posłuszna nakazowi Fluttershy ruszyła naprzód, posyłając ostatni, delikatny uśmiech w stronę Trixie. Ta zaś zaczęła zastanawiać się, jak dobrze wykorzystać tak rozpoczętą noc, przy okazji udowadniając swoją wyższość nad Twilight Sparkle i równocześnie unikając spotkania z zamieszkującą Everfree Małą Niedźwiedzicą. Rozmyślenia przerwała jej miotła, która najwyraźniej nie miała takich dylematów i niezbyt szybko, ale stanowczo ruszyła w kierunku znajdującej się nieopodal grupy skał.

– Poczekaj! Wielka i Potężna Trixie nie podjęła jeszcze decyzji – zaprotestowała klacz.

Na te słowa jej wierzchołek zatrzymał się i zaczął kręcić się w kółko, wyrażając tym samym swoje zniecierpliwienie. Tymczasem jednorożec rozejrzał się po lesie i zauważył w oddali światła miasteczka, które natychmiast przypomniały mu o konkursie:

– Trixie musi wracać do Ponyville, tam czeka na nią nagroda za najlepszy kostium. Trixie nie może dać księżniczce tej satysfakcji i przegapić ogłoszenia wyników.

Miotła zareagowała na te słowa lekkim potrząśnięciem wtkami, przywodzącym na myśl kręcenie głową.

– Co? Nie chcesz lecieć do Ponyville?

Ponowne potrząśnięcie.

– Ale Trixie musi się tam znaleźć! Co powiesz na taką umowę: ty zabierzesz Trixie do miasteczka, a po odebraniu nagrody Trixie pozwoli ci zdecydować, gdzie polecimy.

Ta propozycja przypadła do gustu miotle, która zwróciła się przodem ku Ponyville i podjęła lot w jego stronę. Zbliżając się do ratusza, Trixie rozpoznała magicznie wzmocniony głos Twilight Sparkle:

– Najwyższe miejsce na podium zajmuje zaś Starlight Glimmer za wyjątkowo wierny kostium dawnej mieszkanki Kryształowego Królestwa! Zwróćcie proszę uwagę na te detale i dopasowaną do stroju fryzurę. Nie podróżowałaś chyba w czasie, żeby zdobyć to przebranie? – szeptem upewniła się księżniczka.

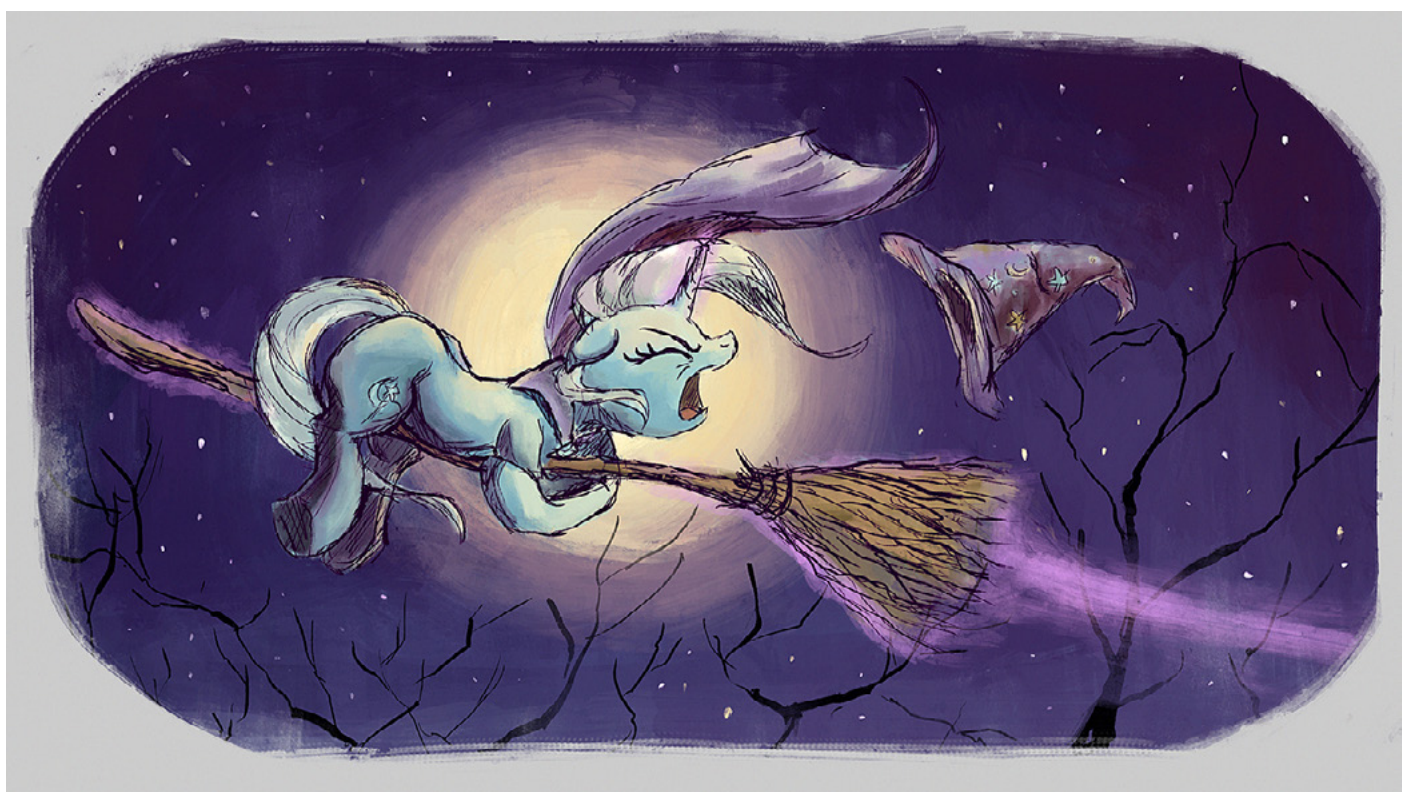
– Nie, no coś ty... – odpowiedziała jej uczennica z nieco krzywym uśmiechem. – Po prostu prze-studiowałam uważnie książkę, którą mi poleciłaś. No, ewentualnie poprosiłam Cadance o małą wycieczkę po Kryształowym Pałacu. Wiesz, że pełen jest portretów dawnych władców Królestwa.

\* \* \*

– Jakim cudem Trixie zajęła dopiero trzecie miejsce? Nikt inny nie miał zaklętej miotły! – z niedowierzaniem spytała przyjaciółki niebieska klacz.

– Ale czarownice tak naprawdę nigdy nie latały na miotłach. A wiesz przecież, jak Twilight dba o poprawność historyczną. Nie mówiąc już o tym, że nikt inny nie okradł jej pałacu z wyposażenia...

– Trixie nie dokonała kradzieży, Trixie zwróciła miotle wolność! – Tutaj klacz odwróciła się, by po raz ostatni pomachać odlatującej w stronę lasu Everfree towarzyszące niedawnych przygód.  
– Poza tym, księżniczkę Twilight stać chyba na nową miotłę?



# MANAD.PL

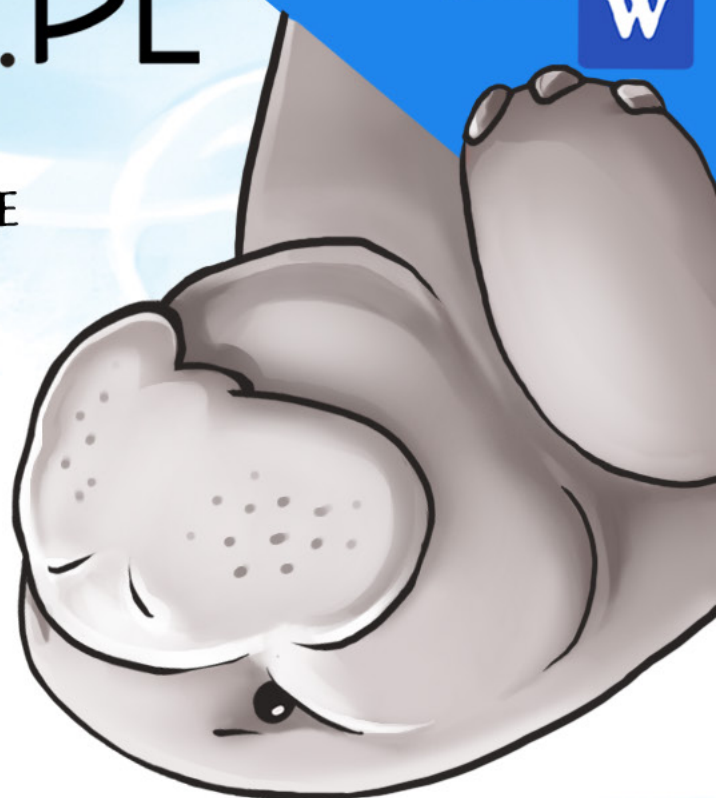


**W NASZYM SKLEPIE ZNAJDZIECIE WIELE  
INTERESUJĄCYCH GADŻETÓW!**

**REALIZUJEMY ZAMÓWIENIA  
Z WŁASNYM WZOREM NA:**

- **PODKŁADKI**
- **PRZYPINKI**
- **NASZYWKI**
- **KOSZULKI**
- **KUBKI**

**I WIELE INNYCH!**



**WSPIERAMY OD STRONY  
TECHNICZNEJ ORGANIZACJĘ  
IMPREZ TYPU MEET/KONWENT  
O DOWOLNEJ TEMATYCE**

**WYPOŻYCZAMY TEŻ SPRZĘT:**

- **KONSOLETY/MIXERY**
- **NAGŁOŚNIENIE**
- **OKABLOWANIE**
- **OŚWIETLENIE**
- **MIKROFONY**

